Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 5 maja 1935 r. Nr. 17.



CICHO...

Cicho .. to smutny wieczór... zachód płonie...
Noc idzie cicha — gęsty mrok zapada
Cicho... do gwiazd wyciągam drżące dłonie —
Z lasu wypływa twarz księżyca blada.

Cicho .. noc idzie... łza mi wzrok przysłania,
Łza z głębi duszy — cicha łza tęsknoty.
Tłumię w swej piersi rozpaczliwe łkania...
— Gdzie sen o szczęściu? — Gdzie młodości loty?

Cicho... noc idzie.. lśnią gwiazdy w błękicie,
A zewsząd idą ciche, nocne cienie..
— Ta noc milcząca, cicha — to jest życie —
A każda gwiazdka — to jedno wspomnienie...

Cicho .. już zgasła zorza purpurowa
I pieśń wieczorna cicho do gwiazd wzlata...
— Choć takie proste są tej pieśni słowa,
Niezrozumiałe są jednak dla świata.

„Jadźka z Kujaw".

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

1)

Był wczesny wiosenny dzień. Chociaż śnieg bielił się jeszcze na polach, placach i trawnikach, słońce jednak grzało już silnie, dając przedsmak i nadzieję ciepła i lata.

Przed budynkiem zarządu Zakładów Chemicznych i fabryki broni rządowej stało kilku urzędników w oczekiwaniu na dyrektora.

Na placu, oddzielającym gmach zarządu od zabudowań fabrycznych, kręcili się robotnicy, terkotały wozy, z oddali dochodził monotonny miarowy huk maszyn, zgrzyt trybów.

Zakłady Chemiczne i fabryka broni zatrudniały około tysiąca osób płci obojga.

Było to przedsiębiorstwo rządowe na wielką skalę zakrojone.

Prócz głównej fabryki w Czekaniu, posiadało filje w kilku miejscowościach w różnych częściach kraju. Siedziba głównego zarządu zajmowała całe piętro na najruchliwszej ulicy w Czekaniu, zakłady fabryczne znajdowały się za miastem, zajmując dziesięcio-hektarowy obszar, zabudowany kilkunastu piętrowemi gmachami, posiadało potężne schrony i obwarowane magazyny.

Prezes i rada nadzorcza urzędowały w mieście, poruczając kierownictwo fabryki odpowiedzialnemu dyrektorowi, mającemu do pomocy cały sztab inżynierów i urzędników dobrze opłacanych i uposażonych.

Część urzędników i robotników mieszkała w obrębie zabudowań fabrycznych — ci otrzymywali mieszkania darmo. Reszta wynajmowała lokale w mieście, otrzymując od zarządu zwrot kosztów komornego.

Nic więc dziwnego, że cenili oni swe posady i starali się utrzymać na miejscach jak najdłużej.

Dyrektor nie nadchodził.

Urzędnikom zebranym przed budynkiem nudziło się to długie czekanie.

Chodzili nerwowo po asfalcie chodnika tu i napowrót, stukając obcasami.

Ich, po większej części młode, u niektórych prawie że dziecinne jeszcze twarze, miały wyraz niepewności i zatroskanego skupienia.

— Nowy dyrektor! Nowe porządki, bo wiadomo, że „nowa miotła zawsze gorliwiej miecie“, nowe zapatrywania, nowe zarządzenia, a dla nich szarej rzeszy pracowników macanie poomacku.

Nie wie się, czem można mu będzie trafić do przekonania, czem wkraść się do łask, czem go sobie zrazić, źle usposobić, zniechęcić, uprzedzić do siebie.

Trzeci to już dyrektor od czasu ustalenia się granic Polski.

Pierwszy był dobry i wyrozumiały.

Przedwojenny inżynier, austrjacki oficer rezerwy, dobrze wychowany, układny, gładki, o gestach wielkopańskich, sprawiedliwy, zrównoważony w obcowaniu z podwładnymi.

Miał ładną, elegancką żonę, wychowanicę Sacré Coeur, a jedną dużą wadę — był kochliwy i to tylko w stanie podchmielonym.

Trzeźwy — zawsze na swojem miejscu z panami grzeczny, uprzejmy, w towarzystwie pań miły, dowcipny, przyjemny, lecz gdy wypije choćby tylko trzy kieliszki, wtedy robi się zdobywczy, czuły, zuchowato-natrętny.

I jedna taka przygoda „pod gazem“ zadecydowała o jego bycie.

Śmieszna, głupia przygoda, a miała tak tragiczne następstwa dla dyrektora.

Na balu ziemiańskim w hotelu Bristol przygodna znajomość z przyjezdną panną.

Młoda, ładna, zuchowata, cyniczna, piła z nim dużo, mówiła śmiałych, dwuznacznych dowcipów jeszcze więcej.

I gdy nad ranem odeszła do siebie do numeru, bo zatrzymała się w tym samym hotelu, podążył za nią.

Panna w krzyk. Przybiegł na ratunek ojciec, powstał gwałt, zbiegowisko.

Wyrzucono go z pokoju panny, wsadzono do dorożki, odwieziono do domu.

Nic nie pamiętał jak wytrzeźwiał.

Ale amory te zapłacił utratą dobrze płatnej posady.

Następca jego, Michał Pragniewicz, eksoficer niemiecki, inżynier dyplomowany berlińskiego uniwersytetu był przeciwieństwem swego poprzednika.

Inteligentny, ale zarozumiały, bezwzględny i niesprawiedliwy aż do brutalności, nieznoszący sprzeciwu najmniejszego nawet, przygniótł cały personel zakładów, budząc w nich jedynie czysto fizyczny strach przed konsekwencjami w postaci złej opinji, wymówienia posady, przeniesienia do innego wydziału lub filji i tem podobnych nieprzyjemności, jak te, co spotkały tego biednego Gozdawę.

Zniszczył karjerę człowiekowi — i za co? dlaczego? Że na kasjera Karasiewicza patrzył trzeźwo i widział go takim jakim on był w rzeczywistości — oszustem i złodziejem.

Widział to nietylko on, wiedzieli o tem wszyscy urzędnicy zakładów, ale bali się, nie śmieli ostrzec przełożonego, a Karasiewicz jakby naigrawając się z nich kradł w ich oczach, fałszował pozycje, podrabiał rachunki, nie krępując się i poklepując ich po ramieniu z łaskawo-dobrotliwym uśmiechem.

Dyrektor Pragniewicz, jak przeważnie każdy brutal i zarozumialec, ten wojenny, czy też powojenny inżynier, ulubieniec ślepego losu, poddał się wpływowi sprytnego hochsztaplera, który mu zaimponował wielką pewnością siebie i majątkiem, a raczej płynną gotówką, której niewyczerpane zasoby miał stale przy sobie.

Patrzył jego oczami, rządził się jego zdaniem.

A Karasiewicz? Upijał dyrektora do nieprzytomności, ogrywał go w karty i w przystępie dobrego humoru pożyczał mu niewielkie sumy ze skradzionych z kasy lub wygranych od niego pieniędzy.

Podawał się za właściciela majątku z Wołynia, gdzie żona jego miała gospodarować, gdy on dorabiał się na posadzie, a w rzeczywistości był synem wojskowego felczera z Homla czy też z Mozyrza, a żona jego popadjanka z Iwanik zarabiała na utrzymanie jako akuszerka w jednem z miasteczek wołyńskich.

Tupet jego nie znał granic w zetknięciu z naiwnością i prostodusznością kolegów.

Ze swadą urodzonego oszusta wmawiał im, że jest akcjonarjuszem firmy „Aquavit“, która wypłacała wysokie dywidendy, a tymczasem cały jego udział w słynnej poznańskiej firmie wódek ograniczał się do wypijania dużej ilości przetworów spirytusowych tej firmy.

Ludzie mu jednak wierzyli i mówili o jego zamożności z szacunkiem i zazdrością.

Niektórzy tylko z urzędników przejrzeli go i jego machinacje. Milczeli zastrachani z obawy przed narażeniem się wszechwładnemu ulubieńcowi i zausznikowi, jedynie wicedyrektor Olgierd Gozdawa miał odwagę przeciwstawić się wpływowi Karasiewicza, a nawet ostrzegać dyrektora przed jego nieuczciwemi machinacjami.

I za to otrzymał przy końcu roku ujemną opinję, że jest mało inteligentny (bo nie poznał się na genjalności oszusta), niekoleżeński (bo śmiał się nie podlizywać się, nie ubiegać o łaski ulubieńca dyrektora), nielojalny, nieszczery, mało energiczny, a wszystko dla tego, że naraził się Karasiewiczowi, że zawadzał temu ostatniemu, bo chciał on pozbyć się niewygodnego świadka i człowieka, który go przejrzał i przejrzał również jego czyny.

Olgierda Gozdawę na wniosek dyrektora usunięto z biura fabrycznego. Prezes przeniósł go do centrali na stanowisko kontrolera, zostawiając mu dawne mieszkanie w obrębie zakładów chemicznych ku niezadowoleniu dyrektora Pragniewicza.

Dziś Karasiewicza już niema wśród urzędników państwowych zakładów chemicznych; wydalono go bez żadnego odszkodowania.

Chciano go oddać pod sąd, ale dyrektor Pragniewicz zląkłszy się o swoją skórę, użył wszelkich wpływów, by sprawę zatuszować.

Niema też już i Pragniewicza. Po skandalu z Karasiewiczem naznaczony został na stanowisko dyrektora filji pod Częstochową.

Nowy dyrektor!

Ile nadziei, zawodów, rozczarowań, niepokoju kryje to słowo.

— Jakim on będzie?

— — — — — — —

W sieni rozległy się energiczne kroki, zastukały obcasy po schodach.

Wyprężyły się odruchowo przygarbione postacie urzędników.

— Idziemy panowie...

Uśmiech przyjazny przesunął się po wargach młodego, trzydziesto-kilkuletniego dyrektora, gdy zwrócił się do nich.

Ruszyli w stronę placu, kiedy z za węgła domu ukazała się pani średniego wzrostu, średniej tuszy, ubrana skromnie w szary jesienny płaszcz.

Mogła mieć lat około trzydziestu paru. Nie była ani ładna, ani elegancka.

Z pod ciemnych brwi patrzyły spokojnie, trochę chłodno szare zwykłej barwy, i oprawy oczy, szeroko błado-

różowe usta ułożone były w zadartym uśmiechu, gdy odkłoniła się oficerom.

— Kto to? — spytał dowóca, gdy nieznajoma zniknęła za bramą.

— Pani Gozdawina. Oni tutaj mieszkają w bloku familijnym, chociaż pan Gozdawa pracuje w centrali i nie należy do grona tutejszych urzędników — objaśnił sekretarz.

— Czy nie Gabrjela, żona Olgierda? — spytał dyrektor zdławionym głosem, jakby zachrypniętym nagle.

— Tak, panie dyrektorze — odpowiedział sekretarz.

Wszyscy urzędnicy spojrzeli ze zdziwieniem na przełożonego, który zbladł jak ściana i oczy pociemniały mu wzruszeniem. Gryząc nerwowo wargi, patrzył chwilę za idącą w kierunku przystanku tramwajowego panią Gozdawinę, wreszcie, gdy zasłoniły ją drzewa alei westchnąwszy ruszył w stronę placu krokiem wolnym, ociężałym, jak człowiek dźwigający ciężkie brzemię na barkach.

Cała jego sprężystość gdzieś się ulotniła, odeszła od niego cała poprzednia radość życia, którą tchnęła jego osoba.

Urzędnicy spoglądali na siebie zdumieni.

— Co mu się stało? Dlaczego tak podziałała na niego przygnębiająco wiadomość, że Olgierd Gozdawa tu mieszka? Jaki dziwny człowiek ten Olgierd.

Niby spokojny, zrównoważony, opanowany, a tymczasem przełożeni znosić go nie mogą.

Dyrektor Pragniewicz bladł ze złości na jego widok. Spotkanie z nim czy z nią psuło mu humor na cały dzień, wywoływało paroksyzmy wściekłości.

Urzędnicy bali się zbliżać do nich lub witać w jego obecności, by nie narazić się i swej posady na szwank.

A teraz znów ten.....

W miarę jak zbliżali się do zabudowań fabrycznych uspokajał się dyrektor i odzyskiwał zwykłą swadę.

Rozmawiał wesoło z urzędnikami, wypytywał ich o stosunki i warunki miejscowe, o współżycie towarzyskie, uprzejmy, swobodny, przyjacielski.

W zakładach zwiedził każdy kącik, przystanął przy każdym warsztacie, przy każdej maszynie, zainteresował się każdym szczegółem.

Z zawodu był oficerem, pułkownikiem, nie znał się na chemji i inżynierji, ale że zakłady te podlegały Ministerstwu wojny i służyły przemysłowi wojennemu, więc kierownicze stanowiska obsadzone były wojskowymi.

Nie znał się na chemji, ale od tego był cały sztab inżynierów, chemików, laborantów, ich to już rzeczą było odpowiadać za stronę techniczną i fachową zakładów.

Pułkownik Szneliński w towarzystwie inżyniera naczelnego i urzędników obszedł wszystkie budynki, zatrzymał się dłużej w laboratorjach, porozmawiał z robotnikami.

Stamtąd poszedł dalej do stajen, składów, piwnic.

Gdy w parę godzin potem wracali do zarządu zwrócił się nagle z zapytaniem do sekretarza, czy Olgierd Gozdawa służy w zakładach.



W Paryżu wiosna rozpoczyna się wcześniej niż w innych stolicach europejskich a to dzięki klimatowi francuskiemu. Oto piękny widok wiosenny na Champs Elysées w Paryżu.

— Tak, panie pułkowniku, jest przydzielony do głównego zarządu w charakterze kontrolera i o ile mi się zdaje obecnie jest w rozjazdach. Kontroluje nasze filje.

— Aha — mruknął dyrektor, wchodząc do swego gabinetu.

* *

W małym światku fabrycznym zawrzało od domysłów.

Najpierw debatowano nad tem w mieszkaniach urzędników, ale wkrótce wieść ta przedostała się niezbadanemi drogami i do rodzin majstrów i starszych robotników, zamieszkujących w specjalnie dla nich wybudowanych barakach.

— Nowy dyrektor pułkownik Szneliński nie znosi Olgierda Gozdawy.

„Niełaska bogów, jest niełaską wiernych.“ Niełaska ta odbiła się powrotną niechęcią do pani Gabryni Gozdawiny i jej małej pareczki, chłopca Adasia i córeczki Joli.

Sergjusz Protopow, rosjanin, syn nauczyciela „obrusitiela“, ale poddany polski, bo urodził się w Warszawie, chytry podstępny, fałszywy, jako zarządca zabudowań zaczął jak to mówią „czepiać się“ chcąc się tym sposobem przypodbić nowemu dyrektorowi.

— Olgierd Gozdawa nie ma prawa mieszkać w obrębie zakładów i w dodatku zajmować najlepsze mieszkanie, cztery pokoje z kuchnią i łazienką, słoneczne, obszerne, ciepłe. — Zajmuje to mieszkanie bezprawnie. Powinien był postarać się o mieszkanie w mieście...

A więc: — pretensje, że schody nieumyte lub niezamiecione, chociaż kolejka sprzątania wypadała na służącą sąsiada. Przysyłał jednego ze stróżów z rozkazem: „by schody były natychmiast sprzątnięte; to znów pretensja, że dzieci hałasowały pod oknami jego mieszkania.

Moc takich codziennych drobnych szykan sypało się na głowę nieszczęsnej pani Gabryni, to znów czereda dzieci majstrów i robotników napadała na placu, na jej parkę, przezywając lub poszturchując oboje.

— — — — — —

— Oluś — pisała do męża — nie wiem za co, dlaczego nowa fala prześladowań zalewa mnie i dzieci, — jak za czasów pułkownika Pragniewicza i jego żony.

— Urzędnicy ledwo się witają, panie udają, że mnie nie spostrzegają. Janek Bromirski uderzył wczoraj po nogach batem Jolkę, aż krwawa pręga wystąpiła na ciałku, mały Konieczny pchnął Adaśka tak silnie, że ten, padając, rozciął sobie wargę na kamieniu.

— Usuwam dzieci z obrębu zabudowań, ile tylko mogę, zabraniam im wychodzić bez służącej i mimo to ustrzedz ich nie mogę przed napaściami.

— Wczoraj Tuśka Protopow poszczuła w obecności swej matki Adaśka Djanką i pies ugryzł go w łydkę. Gdy przez okno zwróciłam jej uwagę, to pani Protopow zrobiła swoją „dystyngowaną“ minę i wystąpiła do mnie z pretensją, jak ja śmię zarzucać jej córce coś podobnego, bo właśnie na odwrót Adasiek zaczepił ją i psa. I mała za plecami matki pokazała mi język.

— Oleg... Oleg... jak ciężkie jest życie czasem!

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

11.

Pieniądze te dozorca aresztu w policji oddał Lekokowi, wraz z innymi przedmiotami, jakie znaleziono przy mordercy. Ajent złożył to wszystko na stole.

— Oto są twoje 136 franków i 12 su — powiedział — a ponadto: nóż, chustka do nosa i cztery cygara.

Wyraz najwyższego zadowolenia przebił się na twarzy więźnia.

— Teraz — odezwał się pisarz — może zechcesz odpowiadać?

Dyrektor ocenił jednak całą bezcelowość ponawiania prób i zwrócił się do więźnia z rozkazem: „zdejm no buty".

Oko mordercy, po usłyszeniu tych słów, zadrgało silnie, co nie uszło uwagi Lekoka.

— A to na co? — zapytał więzień.

— Musimy zapisać twój wzrost — dał odpowiedź pisarz.

Obwiniony, bez jednego już słowa protestu więcej, usiadł i zaczął zdejmować obuwie, przyczem zauważyć było można, iż jeden z obcasów, z prawej nogi był zupełnie zdeformowany. Po zdjęciu obuwia okazało się, iż więzień nie miał skarpetek, nogi jego były gołe.

— Ho!... ho!... — zawołał Lekok wtedy — masz widzę strasznie zabłocone nożyska. Co nie przeszkadza, że nogi twoje rozstały się ze skarpetkami bardzo niedawno.

— Poczem to poznajecie? — zapytał więzień.

— Po tem — odpowiedział Lekok zwolna i dobitnie — że pod warstwą błota widać, że nogi masz białe i starannie pielęgnowane. Nawet ich paznogcie są irchą wygładzone.

Zamilkł nagle. Jego genjusz śledczy rzucił mu nagle błyskawicę światła.

— Postaw no tutaj na tym stołku nogę — dał rozkaz więźniowi, a gdy ten się wzdragał, dodał jeszcze:

— Tylko bez oporu, bo znajdzie się tutaj na niego siła.

Więzień musiał być posłuszny. Aczkolwiek z niechęcią postawił jednak nogę na krześle. Wtedy Lekok scyzorykiem zaczął zeskrobywać błoto, przyschłe do białej skóry stóp tajemniczego więźnia.

Gdy ukończył tę pracę, na rozłożonej na stołku gazecie zebrała się duża garść zeskrobanego błota. Wtedy Lekok rozdzielił proszek ten na dwie części, jedną z nich zawinął w papier i schował do kieszeni, zaś pozostałą resztę oddał dyrektorowi ze słowami:

— Pozwalam sobie prosić pana dyrektora, ażeby zechciał przyjąć w depozyt to sproszkowane błoto, zeskrobane ze stóp więźnia, po uprzedniem opieczętowaniu go w oczach obwinionego. Zaś domagam się tego z przyczyny, ażeby więzień nie mógł nam zarzucić następnie, że na miejsce tego proszku podłożono inny.

Aczkolwiek dyrektor nic nie pojmował, zadość uczynił niemniej prośbie Lekoka.

Oskarżony, w czasie spełniania pracy tej, żżymał tylko ramionami i śmiał się głośno.

Dalsze formalności poszły już gładko, nie dając zresztą żadnych wskazówek, przy więźniu bowiem nie znaleziono żadnych innych przedmiotów podejrzanych, ani sprężyn stalowych, które służą do przerzynania najgrubszych choćby krat, ani ołowianych kulek, przy pomocy których więźniowie korespondują ze sobą.

Gdy wszystko było już skończone, dyrektor zadzwonił wtedy na dozorcę, a gdy ten zjawił się na progu, dał mu polecenie:

— Więźniowi temu dasz celę numer 3 i trzymać go będziesz w ścisłem odosobnieniu.

Więźnia nie było potrzeby zmuszać do wyjścia. Ruszył naprzód sam, jak stary i wytrawny bywalec.

— Cóż to za zatwardziały zbrodniarz! — zawołał sekretarz.

— Tak pan sądzisz? — odezwał się Lekok, zbity nieco z tropu, lecz nie zachwiany jeszcze bynajmniej.

— O, że jest recydywistą, nie można wątpić nawet. I jestem prawie pewien, że był on już moim gościem. Niebezpieczny jest to, myślę, ptaszek.

Ci ludzie obyci z więźniami, a więc doświadczeni bezspornie, podzielali mniemanie Żewrola. Lekok stał jednak niezachwianie przy swojem.

Nie spierał się jednak, bo cóżby mu z tego przyszło? Wprowadzono zresztą ciotkę Szupe.

Przejazd karetką więzienną wpłynął uspakajająco na jej nerwy, tak iż stała się łagodna jak baranek. Głosem rozdzierająco rzewnym i przepojonym łzami brała na świadków wszystkich dobrych panów, jaka to ogromna stała się jej krzywda! Jej, kobiecie czystej jak kryształ i łza. Uprzedzono się do niej, nie tylko to. Uprzedzono się nawet nietylko do niej, ale i do całej jej rodziny, bo oto niedawno zabrali jej syna, jedynego syna, chłopca najzacniejszego, imieniem Polyt. Co będzie teraz z jego żoną, a jej synową, i jej wnuczkiem, małym Toto?... Bóg raczy wiedzieć!...

Gdy jednak po zarejestrowaniu jej imienia i nazwiska, wyprowadzono ją ponownie na korytarz, jej kłótliwe usposobienie znów wzięło górę.

— Źle robisz — wrzeszczała do dozorcy — że się ze mną tak brutalnie obchodzisz, — źle robisz, powiadam ci i obawiam się, że wyjść ci to na złe może.

Gdy głos starej jędzy ucichł nakoniec w oddaleniu, Lekok pomyślał wtedy, że jego praca została, na razie przynajmniej ukończona, że może chwilę odpocząć, oczekując na przybycie sędziego śledczego.

Młody policjant przez długie trzy godziny rozmyślał nad wypadkami ubiegłej nocy i nad swem śledztwem, aż do chwigdy powóz sędziego zatrzymał się przed bramą i wysiadł z niego pan d'Escorval w towarzystwie sekretarza.

Sędzia, gdy Lekok podbiegł do niego, przyjął go życzliwemi słowami:

— Poszukiwania moje na gruncie — powiedział — utwierdziły mnie w przekonaniu, iż ty miałeś słuszność. Są jakieś nowiny?

— Są panie. Jest to fakt pozornie drobny, jednak, posiada dużo znaczenia.

— Doskonale — przerwał mu sędzia — przedłożysz mi go za chwilę. Pragnę jednak przedewszystkiem wybadać obwinionych — dla formalności jedynie, ponieważ o ich uwolnieniu nie może być mowy. Zaczekaj tu na mnie.

Aczkolwiek sędzia przyobiecał pośpiech, Lekok nie spodziewał się go ujrzeć prędzej, jak za jakąś godzinę, to też ze zdziwieniem, już po upływie nie więcej jak minut dwudziestu, ujrzał wracającego pana d'Escorvala, samego, bez kancelisty.

Szedł bardzo szybko i, będąc w oddaleniu jeszcze, odezwał się do młodego ajenta:

— Muszę natychmiast wracać do siebie, z tej przyczyny nie mogę udzielić ci posłuchania.

— Jednakże, panie...

— Dosyć... Ciała zabitych przewieziono już do morgi. Miej na nie baczenie. A potem wieczorem... Eh! rób, co będziesz uważał sam za stosowne.

Lekok chciał protestować, pan d'Escorval jednak nawet go nie słuchał, wsiadł do powozu i odjechał.

— A to mi sędzia dopiero! — mruknął Lekok — zwarjował chyba, czy co?

Wtem nagłe podejrzenie zakradło się do jego mózgu.

— A może sam, będąc na górze, pochwycił wątek tajemnicy i wobec tego stara się mnie pozbyć?

Podejrzenie to tak wielką napełniło go obawą, iż udał się ponownie do więzienia, ażeby z zachowywania się obwinionego wywnioskować, czy jakieś ważne zdarzenie istotnie miało miejsce?

Gdy Lekok przybliżył oko do okienka, ujrzał mordercę leżącego na tapczanie, z twarzą zwróconą do ściany i z głową osłoniętą kołdrą.

Czyżby spał? Chyba nie, ponieważ wykonywał on jakieś anormalne, a bezustannie powtarzające się ruchy. Fakt ten zwrócił uwagę Lekoka, zastanowił, zaniepokoił wreszcie... przyłożył wtedy, zamiast oka, ucho do otworu i dosłyszał głuchy jęk jakby. Nie mogło ulegać wątpliwości! Morderca dusił się!

Lekok zaczął wtedy głośno wzywać pomocy, a na ten zew zbiegła się momentalnie cała straż więzienna.

— Co się stało? — pytać zaczęli.

— Więzień! — odpowiedział Lekok — prędzej, dusi się!

Otworzono drzwi natychmiast. I okazało się, iż czas na ratunek, jeżeli nie spóźniony, to był już najwyższy.

Lekarz więzienny, po którego posłano i który bez zwłoki puścił krew nieszczęśliwemu, zaopinjował, że w dziesięć minut później wszelki ratunek już by się na nic nie zdał, ponieważ i bez tego uduszenie było niemal zupełne.

Więzień, jak się okazało, podarł na pasy prześcieradło, które, przy pomocy żelaznej łyżki, zacieśniał sobie coraz bardziej na szyi.

Morderca, gdy wrócił do przytomności, obłąkanym wzrokiem rozejrzał się po celi. Rozpaczał, że żyje. Po chwili ciężka łza spłynęła mu po twarzy.

Na zadawane pytania nie dał słowa odpowiedzi.



Córka Rasputina, pracująca w Ameryce jako pogromczyni zwierząt, została zaatakowana przez niedźwiedzia i ciężko pokaleczona.

— Jeżeli tak jest z nim, przyczem ma być on w odosobnieniu trzymany, — zaopinjował lekarz — to niema innej rady, tylko trzeba mu włożyć kaftan.

Gdy kaftan warjatów został na więźnia włożony, Lekok opuścił więzienie z przykrem uczuciem w sercu. Wyczuwał, iż pod tajemniczą zasłoną tej sprawy kryje się jakiś straszliwy dramat.

— Co się jednak stać mogło? Czy ten tajemniczy człowiek milczał, czy też wyznał wszystko sędziemu? Jakie przytem mogło być źródło tej gwałtownej rozpaczy?

Zagadek tych umysł Lekoka wyjaśnić nie potrafił.

XIII.

Kim mógł być więzień tajemniczy? Kto miał słuszność, czy Żewrol, którego zdanie popierała cała starszyzna więzienna, czy też Lekok, odosobniony w swych poglądach?

Zdanie Żewrola oparte było na faktach i biło swą oczywistością w oczy...

Hipoteza młodego ajenta miała za podstawę pewną grupę obserwacji subtelnych i nieuchwytnych oraz wywodów, punktem których był jeden jedyny frazes, wymówiony w podnieceniu przez mordercę.

Chwile zwątpienia ogarniaćby musiały w tych warunkach umysły najbardziej choćby wierzące w słuszność swych tez. Chwile słabości takich miał więc i Lekok, rozwiały się one jednak w dużej mierze, po rozmowie z sekretarzem d'Escorvala, z którym się spotkał, wychodząc z więzienia.

Otóż morderca nie tylko nic nie wyjawił sędziemu, ale nawet, według zapewnień kancelisty, miał odpowiadać monosylabami jedynie i bardzo niechętnie.

Sędzia również miał nie nalegać najzupełniej, co łatwo tłumaczyło się tym, iż to pierwsze badanie było wypełnieniem formalności jedynie, gdyż prawo domaga się, ażeby uwięziony przed upływem dwudziestu czterech godzin był przez sędziego przesłuchany.

Jakie więc wnioski wyprowadzić było można z rozpaczliwego czynu obwinionego?

Statystyka więzienna poucza, iż zatwardziali złoczyńcy nieomal nigdy nie popełniają samobójstw. Dbają o swoją skórę.

Zbrodniarze z wypadku natomiast, wprost przeciwnie, bardzo często skracają sobie życie dobrowolnie, chcąc tym sposobem uniknąć hańby potępienia publicznego.

Tak więc targnięcie się na życie morderey trzech ludzi, było silnem poparciem hipotezy Lekoka.

— Tajemnica tego nie zbrodniarza, lecz nieszczęśliwego, musi być najwidocz niej straszliwa, skoro mu więcej chodzi o ukrycie jej, aniżeli o życie, — rozumował młody ajent.

Temi wszystkiemi myślami trapiony, nasz młody ajent męczył się całą noc bezsennie, to też nie było jeszcze godziny szóstej, jak zerwał się z łóżka, ubrał szybko i wybiegł na ulicę.

Czas był okropny. Nad całym Paryżem unosiła się gęsta i wilgotna mgła, przejmująca chłodem do szpiku kości. Lekok nie zważał jednak na to i szedł wyciągniętym krokiem ulicą Montmartre, na której zamieszkiwał.

Gdy był w pobliżu kościoła św. Eustachego doszło go nagle wołanie:

— Hej tam!... paniczu!

Odwrócił się natychmiast i ujrzał Żewrola, który na czele kilku ajentów szedł zarzucać sieci w okolicach hal.

— Cóż to tak rano zerwałeś się z puchu swego łoża, szanowny panie Lekok — ironizował starszy ajent — czy ciągle jeszcze uganiasz się za stwierdzeniem tożsamości owego łotrzyka, którego zapakowałem do więzienia? I jakże tam? — czy jest to aż książę, czy też zwykły tylko margrabia?

— Myślę, iż jest on księciem conajmniej.

— Doskonale. Lecz w takim razie może byś tak sam coś postawił, na rachunek przyszłej gratyfikacji?

— Z całą przyjemnością.

I cała gromadka weszła do pobliskiego baru, który nie zamknął jeszcze swych podwoi.

— Jenerale — powiedział młody ajent, gdy postawiono przed nimi pełne szklanki— spotkanie to oszczędziło mi drogi. Szedłem bowiem do Prefektury właśnie, by cię z rozkazu sędziego prosić, abyś wysłał kogoś do morgi. Sprawa mordu w „Pieprzniczce" narobiła hałasu, to też spodziewać się wolno dużego napływu ciekawych, no a w tych warunkach zawsze coś mniej lub więcej ciekawego usłyszeć można.

— Spełnię rozkaz sędziego i poślę tam Nalewajkę od samego rana.

Posyłać starego Nalewajkę tam, gdzie nieodzowną rzeczą było wysłanie ajenta najzdolniejszego — zakrawała na drwiny Lekok nie protestował jednakże. Wolał niemrawego kolegę, któremu ufał, aniżeli być może jakiegoś zdrajcę.

— Mniejsza zresztą o to, kto tam pójdzie, ważniejsze, iż ja miałem do ciebie interes i posyłałem nawet, póżnym wieczorem po ciebie, lecz cię w domu nie zastano. Gdzież to się tak bawiłeś?

— Znaleźć mnie można było przy pracy. Byłem mianowicie w biurze policyjnem przy rogatce Włoskiej, by sprawdzić, jakie są tam w celach podłogi: kamienne, czy też z uklepanej gliny?...



Katarzyna Hepburn, nowa urodziwa gwiazda filmowa Hollywood, otrzymuje miljon złotych za film.

Po tej odpowiedzi, Lekok skłonił się uniżenie inspektorowi, zapłacił rachunek i wyszedł.

— Do stu tysięcy djabłów!... zawołał Żewrol po jego wyjściu. — Patrzajcie tylko jak ten nieznośny młokos się nadyma. Nie potrafi to, ani me ani be jeszcze, a już próbuje zadzierać nosa do góry. Wymyśla nadzwyczajne historje, tumaniąc niemi sędziów śledczych i przełożonych. Awansik mu pachnie! Czekajno, ptaszku, dam ja ci awans, że go rok ruski popamiętasz! Odechce ci się wtedy stroić sobie żarciki ze mnie.

Lekok nie drwił jednak bynajmniej. Istotnie był w przeddzień w Komisarjacie przy rogatce Włoskiej, w celi, w której morderca był zamknięty czas jakiś, ażeby się przekonać, o ile błoto zebrane ze stóp więźnia, było podobne w swym składzie do gliny, z której podłogę uczyniono, o ile jest ona z gliny właśnie, rzecz prosta. I się przekonał, że podłoga była istotnie gliniana, zaś proch z niej, był identyczny, z prochem, jaki miał w kieszeni.

Był to dowód przygniatający, który wskazywał niezbicie, iż więzień celowo zabrudził sobie nogi, ażeby tym sposobem ukryć swe istotne ja.

Młody ajent pożegnał zaś Żewrola dla tego tak szybko, ponieważ chciał wykonać pracę bardzo trudną, przed zobaczeniem się z panem d'Escorvalem jeszcze.

Chciał on mianowicie wyszukać dorożkarza, którego na ulicy Chevaleret zatrzymały kobiety, z szynkowni ciotki Szupe uciekające, i w tym celu zapatrzył się w przeddzień, w Prefekturze, w adresy wszystkich zakładów dorożkarskich, mających swe siedziby po za Włoską rogatką.

Początkowo poszukiwania te szły bardzo opornie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

CZASEM...

Czasem — przelatując — tęsknota skrzydłem
cię muśnie
I cały dzień już masz przedziwnie jakoś przy-
ćmiony:
Codzienna energja, zapał do pracy wnet
uśnie —
A schodzą się myśli tęskne... i jesteś zga-
szony,
Choć sam nie wiesz, czemu w dzisiejszy dzień
właśnie?
Napróżno starasz się zetrzeć z duszy smutku
pleśnie
I myśli swe szare choć na chwilę czemś
rozjaśnić —
Zamknęła cię na dziś tęsknota w swe mroczne
cieśnie...

Danuta Wyrybkowska.

MOŻE NAPISZE?

„Smutna Perełka." Ogromnie zasmucił mnie Twój list, Kochana „Perełko." Istotnie, zły los dotknął Cię bardzo. Jednakże rozsądek Rodziców Twoich jest na miejscu. Połączenie się bowiem z człowiekiem nieuleczalnie chorym, byłoby tylko przejściem z złego w gorsze. Dlatego proszę, pogódź się szlachetnie z smutną rzeczywistością. Nie masz pojęcia ilu ludzi wyrzeka się swego szczęścia, a pomimo to idzie przez życie z uśmiechem i pogodą na twarzy. Ty zaś, Droga „Perełko", jesteś przecież tak młodą, więc napewno znajdziesz jeszcze w życiu szczęście. Proszę, pisuj do mnie zawsze, ile razy będzie Ci smutno, szczerze i z zaufaniem, jak do przyjaciółki, a przedewszystkiem nie martw się tak bardzo.

Pozdrowienia dla „Romantyka XX wieku", „Ucznia Szkoły Podchorążych" i „Fata morgany" chętnie przesyłam. Może który z tych Panów napisze kilka słów do „Smutnej Perełki"?

Wierszyk „Kocham" oddaję dzisiaj do druku.

KOCHAM...

Kocham cię, o najmilszy, każdem serca
drgnieniem,
Każdem westchnieniem piersi, — każdą kroplą
krwi! —
Tyś jest w duszy mej jasnym, cudownym
płomieniem, —
Zorzą, co pośród nocy słońce wieści mi!

Tyś jest mi burzą, wichrem, ciszą i spokojem,
I marzeniem, dźwięczącą złotostruną harfą! —
Tyś promiennego szczęścia mocnym, jasnym
zdrojem
I życia samotnego omegą i alfą!...

„Smutna Perełka."

PSEUDONIM MOŻE PANI ZMIENIĆ

„Wesoła Iruta". Ciekawa jestem, dlaczego Pani cierpi tak bardzo i czuje się nieszczęśliwą, chociaż otacza Panią dobrobyt i miłość. W następnym liście i o tem mi Pani doniesie, prawda?

Pozdrowienia dla „Rudiego" z zapytaniem, czyby nie skreślił do Pani kilku słów, chętnie załączam.

Czy koleżanka Pani mogłaby napisać do mnie osobiście i przesłać swój adres?

UCIESZĘ SIĘ

„Zamyślona". Dziękuję serdecznie za tyle pozdrowień. Odwzajemniam je w równej mierze.

Proszę, niech Pani sobie nie robi żadnych wyrzutów, że nie może z powodu stosunków materjalnych, abonować sama „Moich Powieści", tylko na spółkę z swoją znajomą. Już sam fakt, że czyta Pani nasz tygodnik z zajęciem i jest do niego szczerze przywiązana, cieszy mnie niewymownie. Praoszę napisać znowu kiedyś, a ucieszę się bardzo.

KORESPONDENCJA

„Samotny Leś" pragnie korespondować z Sympatyczkami „Moich Powieści." W tym celu zwraca się do: „Bajki," „Samotnej duszyczki," „Śnieżki" i „Niutki" z prośbą, by zechciały do niego napisać. Odpowiedź przyrzeka natychmiastową.

„MIŁY PAZIU"...

„Polna Niezabudka". Kochana Dziewczynko! Dziękuję Ci za szczery liścik. Po jego przeczytaniu nie potrafiłabym mieć do Ciebie żalu, a tem więcej gniewać się. Już sam takt, że przekonałaś si ędo „Krainy" i darzysz ją sympatją, sprawia mi wielkie zadowolenie. Zresztą nietylko Ty jedna miałaś do Niej uprzedzenie, jest jeszcze kilku innych, którzy błędnie tłumaczą sobie zadanie „Krainy" i traktują ją bardzo sceptycznie. Jednakże malkontentów jest na szczęście mały procent, bowiem reszta Czytelników jest szczerze do niej przywiązana; przyłącza się do grona Sympatyków i nawiązuje z nimi serdeczny kontakt.

Widzę jednak, że się rozwodzę zbyt szeroko na jeden temat, zapominając o poleceniach Pani. A więc „Polna Niezabudka" zainteresowała się „Romantykiem XX wieku" oraz „Paziem", któremu poświęca kilka słówek w swym liście. Oto one: „Miły Paziu"! Podaj mi swoją rączkę — niech ją uścisnę. Pójdźmy razem szukać prawdy, której tak mało jest w życiu, a przy tem zjednać kilku abonentów dla Pani Zofji".

Cel odezwy „Polnej Niezabudki" i wzniosły i pożyteczny, więc zapewnie odezwiesz się „Miły Paziu"?

OPRÓCZ PRACY I MARZEŃ...

„Marzycielka z nad wodospadu" pisze:

„Apeluję do serduszek Czytelników „Moich Powieści", aby zechciały do mnie napisać długie liściki. Szybko odpiszę każdemu. Zamiast spędzać czas na marzeniach, poświęcę go Sympatycznemu Czytelnikowi."

Będę się bardzo cieszyła, gdy apel Pani przyniesie należyty skutek. Korespondencję przyrzekam natychmiast przesłać, bo i ja chciałabym, żeby oprócz pracy i marzeń jeszcze coś innego wypełniało czas Pani. Przesyłam szczere uściski i tysiączne pozdrowienia.

ODPOWIEDŹ JUŻ RAZ BYŁA

„Romantyczna Samarytanka." Listy odebrałam. Na odpowiedź tak długo musiały Panie czekać, gdyż do redakcji przychodzą całe stosy korespondencji, więc każdy liścik musi cierpliwie czekać zanim przyjdzie kolej i na niego.

Ponieważ już raz odpowiedź dla Pań była i równocześnie z nią apel, proszę mi napisać jeszcze raz liścik i donieść o nowych postanowieniach, względnie przesłać wiadomość, czy mam podać treść ostatniego listu w „Krainie."

DOLA

Szarą, krętą, wiejską drogą,
Dola ludzka sobie chodzi
I smęt jak cień za jej nogą,
Nieodstępny, przygarbiony,
W cieniach nocy cicho brodzi.
Idą...
Idą dwa wędrowce,
Poprzez wielkie ziem połacie,
Poprzez góry, złote łany...
...czasem staną w niskiej chacie,
Kędy życiem lud znękany;
Lub się schyla na rozdrożu,
Gdzie tkwi prosto krzyż wkopany...
Czasem zetrą tkliwą ręką
Grube, gorzkie łzy sieroce
Pod przydrożną Bożą Męką
W czarne, smutne, głuche noce...
Nad ugorem wicher płacze...
Ścieżynami Dola chodzi
I do każdych drzwi kołacze
I łka głucho... i zawodzi...

Maryla Wawrzyńczakówna

BARDZO CHĘTNIE

„Pitosek" przedstawia się: „Jestem szczupłą, ciemną szatynką o niebieskich oczach i długich rzęsach. Posiadam wykształcenie gimnazjalne, lubię muzykę, śpiew, taniec, sport. Mieszkam na wsi, otoczonej pięknemi lasami, które bardzo kocham."

Chociaż nie miałam specjalnego pozwolenia na zamieszczenie liściku Pani w „Krainie", dałam jednak część z niego do druku, gdyż w ten sposób rekomendacja wypadnie jak najlepiej.

Przesyłam bardzo chętnie w imieniu Pani pozdrowienia dla „Wesołego Broneczka" i „Strażnika granicznego z pod Chodzieży" z zapytaniem, czy wymienieni Panowie nie zechcieliby skreślić liścika dla „Pitoska."

CZEKAM NA INNY

„Myszka Polna." Rozumiem zupełnie Pani tęsknotę za czemś więcej niż życie codzienne, bo to już w naturze ludzkiej tkwi, że im człowiek inteligentniejszy i bardziej uczuciowy, tem więcej posiada dążeń i pragnień.

Myślę, że trochę urozmaicenia w cichе i monotonne życie Pani wniesie korespondencja. W listach, do jakiejś bratniej duszy wypowie Pani swoje smutki i żale i to z całem zaufaniem, wiedząc, że zostanie zrozumianą. I właśnie taka wymiana myśli będzie stanowiła dużo, dużo ulgi w położeniu Pani.

Przesłany wierszyk nie nadaje się, niestety do druku, gdyż jest i za długi i za banalny, poczekam więc na inny, lepszy.

Na zakończenie przesyłam Pani dużo pozdrowień i uścisków.

PROSZĘ O ADRESY

„Zizia" i „Ikra." Miło mi bardzo przyjąć Panie do grona naszej „Rodzinki." Będę również szczerze zadowolona, gdy kochające się koleżanki znajdą za pośrednictwem „Krainy" bratnie dusze, w osobach wartościowych Panów, z którymi będą mogły nawiązać serdeczną wymianę słów.

Na zakończenie więc, proszę o przesłanie dokładnych adresów Pań, abym wiedziała, gdzie skierować korespondencję.

PRAGNĘŁABY...

„Jemioła" pragnęłaby bardzo nawiązać korespondencję z naprawdę szlachetnym i miłym Czytelnikiem „Moich Powieści."

Sądzę, że Sympatycy „Krainy", o powyższych zaletach, znajdą chwilkę czasu na skreślenie kilku miłych słów, do młodziutkiej blondynki o szaro-niebieskich, smutnych oczach, która jeszcze nigdy nie zaznała naprawdę w życiu radości.

Na zakończenie przesyłam smutnej „Jemiole" serdeczne pozdrowienia i prośbę, by „Jemioła" nie patrzała tak czarno na świat i życie, pomimo bólu i ciężkich doświadczeń. Jest bowiem ktoś potężny, co rządzi nami, zawsze pamięta i nie pozwoli zginąć.

DZIĘKUJĘ!

„Tefi." Prośbę Pani uwzględniłam. Również bardzo chętnie apeluję do „Marysia", aby zechciał nawiązać korespondencję z „Tefi", która marzy o znalezieniu bratniej duszy.

Przesyłam moc uścisków Kochanej „Tefi" i dziękuję bardzo za wyrazy uznania dla „Moich Powieści."

PRZYRZEKAM

„Szarotka z Bydgoszczy". Zgodnie z życzeniem przyrzekam Pani przesłać natychmiast list, oczywiście, jeżeli jakiś nadejdzie.

Za pozdrowienia bardzo, bardzo „Szarotce" dziękuję i przesyłam dużo serdecznych uścisków i pozdrowień.

CZY PRZYNIOSŁY ZADOWOLENIE?

„Stęskniony Morus". Dziękuję z Wujkiem Januszem za pozdrowienia i donoszę Pani, że liścik przekazałam. Ciekawam czy przyniósł zadowolenie?

INFORMACJA

„Amazonka". Na przekazanie korespondencji należy załączyć znaczek za 25 gr.

Załączony list zaraz przesłałam. Chyba do tej pory korespondencja zdążyła się już pomyślnie rozwinąć?

ZACHĘTTA

„Wicher". Wierszyki Pana przeczytałam bardzo uważnie i tylko jeden oddałam do druku. Reszta posiada usterki. Zachęcam równocześnie Pana do dalszej pracy na polu literackiem, gdyż jak wywnioskowałam z nadesłanych próbek, posiada Pan dar do pisania poezji. Rymy Pana są bardzo miłe i ładne.

Listy wysłałam, zapewnie Pan je odebrał? Starałam się przekazać je możliwie, jak najprędzej, bojąc się o „spokojny sen" Pana.

Odpowiedź kończę serdecznemi pozdrowieniami.

SERDECZNIE DZIĘKUJĘ!

Za licznie przesłane pocztówki z życzeniami świątecznemi składam Drogim Czytelnikom serdeczne podziękowania w imieniu całej Redakcji i swojem.

PRZYJMUJĘ CHĘTNIE

„Kubuś ze Śląska“. Proszę, niech mi Pan wytłumaczy jaśniej, dlaczego zaintrygowała Pana odpowiedź w nrz. 7 „M. P.“ pod tyt.: „Pozdrowienie“... Z kilku przesłanych słów niewiele zrozumiałam o co Panu chodzi. Po otrzymaniu obszerniejszych wiadomości przyrzekam dać wyczerpującą odpowiedź.

Do „Krainy“ przyjmuję Pana chętnie i polecam gorąco pamięci miłych Sympatyczek.

„BRAK MI BRATNIEJ DUSZY“

„Regnes z Pogranicza“ przystojny urzędnik gospodarczy z pogranicza skarży się na samotność „Mieszkam na wsi, więc brak mi bratniej duszy, z którą mógłbym w wolnych chwilach korespondować i zarazem dzielić się wrażeniami. Możeby która z czytelniczek zechciałaby do mnie napisać, a chętnie na każdy list odpowiem?

CZEKAM

„Sympatyczny Przyjaciel“. A więc dobrze, trzymam Pana za słowo i czekam na przyobiecany list i fotografję.

Do „Krainy“ oczywiście jak najchętniej zapraszam Pana i polecam łaskawej pamięci Sympatyczek, którym zdradzam, że „Sympatyczny przyjaciel“ jest Pomorzaninem, inteligentem i idealistą, w pełnem tego słowa znaczeniu. Kocha prawdę i szczerość, natomiast gardzi wszelką obłudą i fałszem. Tym, którzy nadeślą mu długie liściki, przyrzeka dać zaraz odpowiedź.

LIST WYSŁAŁAM

„Rok 1935“ przesyła pozdrowienia dla Wacusiewicza“, „Fata morgany“, P. P. Dob..., „Ogrodnika“, „Detektywa z pod Torunia“, „Wesołej Andziulki“ i „Pomorzanki z nad Wisły“.

Dziękuję Pani bardzo w imieniu powyższych Sympatyków za pozdrowienia i donoszę, że list wysłałam. Winę nieregularnego dostarczania „Moich Powieści“ ponosi, mam wrażenie, poczta.

ZAMIAST REKOMENDACJI

„Orkan“. Do „Krainy“ przyjmuję Pana i cieszę się, że nasze grono, znowu powiększyło się o jedną osobę. Zamiast rekomendacji, oddaję wyjątek z listu Pana do druku, gdyż z niego dowiemy się wszystkiego o „Orkanie“:

„Jestem Poznaniakiem, blondynem 1,68 m wysokim, o oczach piwnych i miłym uśmiechu. Lubię nadzwyczaj tańczyć, śpiewać i uprawiam wszelkie sporty. Lubię marzyć przy świetle księżyca. Brak mi tylko bratniej duszy szczerej i otwartej, któraby umiała mnie rozweselić. Miałem niedawno dość smutne przeżycia i nie mogąc zapomnieć o nich, pragnę, ażeby znalazł się ktoś, ktoby mnie rozerwał i dał mi zapomnienie o przeszłości“. *„Orkan“*.

MIŁO MI!

„Biała Orchidea“. Nie, życzenia Pani nie sprawiły mi najmniejszego kłopotu, przeciwnie miło mi przyjąć tak „grzeczną osóbkę“ do naszego grona. Maleńką prośbę Pani oddaję do druku, gdyż sądzę, że tak będzie najlepiej:

„Chciałabym korespondować z jakimś dość inteligentnym braciszkiem, który swoimi listami rozjaśniłby mi szarość dni. Mam 20 lat, jasne spojrzenie w przyszłość i pogodę ducha. Równocześnie przesyłam pozdrowienia: „Czarnemu Olkowi“ oraz uściski „Dzince“ za jej kochane wierszyki“.

PODOBA MI SIĘ

„Młodziutka Ślązaczka“ pragnęłaby korespondować z Sympatykami z okolic Śląska i Krakowa. Będę się cieszyła, gdy pragnienie Twoje Droga Dziewczynko się urzeczywistni. Podoba mi się bardzo Twoje gorące przywiązanie do rodzinnej wioski. Może jednak życie „Młodziutkiej Ślązaczki“ ułoży się tak szczęśliwie, że nigdy jej nie będzie potrzebowała porzucać. Życzę tego gorąco i przesyłam dużo, dużo pozdrowień.

KAŻDA CZYTELNICZKA

„Moich Powieści“ powinna być prenumeratorką Ilustrowanego Dwutygodnika kobiecego p. t.

„MOJA PRZYJACIÓŁKA“,

który kosztuje

TYLKO 80 GROSZY MIESIĘCZNIE

„Moją Przyjaciółkę“, w której „Pani Zofja“ prowadzi popularny dział „My — kobiety — między sobą“ — czyta każda kulturalna, praktyczna i oszczędna Pani. P.K.O. 209.062. Wystarczy adresować:

„MOJA PRZYJACIÓŁKA“ ŻNIN.

KTÓRA Z CZYTELNICZEK

„Sęp“. Jestem brunetem, 1,80 m wysokim, o zabójczem spojrzeniu i bujnej, czarnej czuprynie. Lubię sport zwykły i „miłosny“, lubię marzyć w ciche wieczory, brak mi tylko prawdziwie szczerej duszy. Która z Czytelniczek zechce ze mną korespondować?“

KOLEŻANKI

„Hanka“, „Inka“, „Janka“. Trzy koleżanki „Hanka“, Inka“ i „Janka“ pukają do drzwi „Krainy“ i przedstawiają się kolejno. A więc „Hanka“ jest 19-letnią szatynką, o dużych, tryskających radością oczach. W życiu jest zawsze wesołą. Lubi śpiew, sport, a przedewszystkiem taniec.

„Inka“ posiada ciemne włosy i marzące oczy, oraz specjalne zdolności do muzyki. Podobno jak mówią wszyscy, jest piękną dziewczyną.

„Janeczka“ zaś szalenie lubi słodycze i... chłopców. Ozdobą jej to niebieskie oczy i blond włosy.

Wszystkie trzy pragną nawiązać korespondencję z Sympatykami „Moich Powieści“.

ADRESY

O dokładne adresy, celem przesłania listów, które znajdują się w Redakcji proszeni są „Zniechęcony do życia“, „Muzykalna Szatynka“, „Eddi Polo“, „Alojzy“, „Robinson“, „Wesoły Łobuz“, „Janek z pod Buku“, „Turkusik“, „Serdeńko z pod Leszna“, „Tęsknota“.

ŻYCZENIE

„Morskie Oko“ mieszka w miejscowości, „gdzie świat deskami zabity“, a którą upiększa jedynie łańcuch gór, wśród których płynie „królowa rzek“ Wisła.

Gorącem życzeniem „Morskiego Oka“ jest nawiązanie korespondencji z bratnią duszą.

Teczka Wujka Janusza

POLSKA WIOSNA!

Przez łąki, i niwy — przez szare zagony,
Idzie polska wiosna, — idzie uśmiechnięta —
Skronie jej zdobi, wieniec z róż pleciony,
A nad nią hen w górze — śpiewają ptaszęta.
Cała w blasku słońca — w promieni kaskadzie
Idzie polska wiosna, — idzie do nas hoża,
I sypie ziarenka ptaszęcej gromadzie,
Stokrotki na łąki, a modraki w zboża.
I przyszła do wioski, zajrzała przez wrota,
Przy studni chłop stoi, poi wołki siwe —
Promieniem słonecznem musnęła twarz chłopa,
Czas zorać człowieku, wypoczętą niwę.
I poszedł na pole — od samego rana —
Za nim cała wioska, z piosenką radosną,
Przyśpiewując sobie: danaż moja dana.
Chwalaż Tobie Boże, za tę polską wiosnę.
„Lilla Weneda“.

PÓJDĄ DO DRUKU

P. Michał Ch. Wiersze po poprawieniu pewnych usterek, pójdą do druku.

Za życzenia świąteczne dziękuję gorąco i życzę Panu dużo szczęścia i zadowolenia na nowej siedzibie.

CHCIAŁBYM

Tak chciałbym wznieść się ponad obłoki,
Ze stadem ptactwa szybować hen w dal,
Na strome górskie wspinać się stoki
I gonić z wiatrem pośród górskich hal.
Gdzie śnią przepaści straszne głębiny,
Gdzie hyżo płyną górskie potoki,
Chciałbym tam biegać z śmiechem dzieciny
Radośnie patrząc w śnieżne obłoki.
Gdzie morza wody biją o skały,
Płynąłbym na grzywach spienionych fal,
Piersią wspierałbym ich bure wały,
Radośnie płynąc wciąż w tajemną dal.
„Kanarkowi“ — Ruliński K.

ODWZAJEMNIAM!

„Samotna Polna Stokrotka“. Nie wiem, czemu zawdzięczam, że tyle zaskarbiłem sobie u Pani sympatji i zaufania, w każdym razie cieszy mnie to bardzo. Postaram się nie zawieść ucznć Pani.

Równocześnie przesyłam serdeczne podziękowanie p. Choszczowi w imieniu „Samotnej Polnej Stokrotki“ za wiersz i pozdrowienia, które były dla Niej złotym promykiem w szarem życiu.

Na tem kończę, Droga Sympatyczko, dziękując za ten „cichutki dar“. Przyjmuję go z radością i odwzajemniam go jak najwierniej. Wet za wet!

WIOSNA TO CZARODZIEJKA

„Żądło“. Dziękuję Pani serdecznie za tak długi list. Przeczytałam go z całą satysfakcją, gdyż był bardzo pogodny i prawdziwie wiosenny. Widać z niego, że „duszę ma Pani przepełnioną wiosennem uczuciem“. Nic nadzwyczajnego zresztą! Każde, choć najdrobniejsze stworzenie inaczej oddycha wiosną, czuje się po prostu przeobrażone i pełne nowych sił do życia. Istotnie więc, wiosna to czarodziejka.

Wiersza Pani tym razem nie oddaję do druku, gdyż jest zbyt może osobisty i przeczulony. Czekam jednak na nową przesyłkę i przesyłam, Drogiej Pani, serdeczny uścisk dłoni.

LUBIĘ...

Lubię czasami o szarej godzinie,
Spędzać samotnie mego życia chwile,
I długo marzyć o mojej dziewczynie,
Co jest piękniejszą od cudnych motyli.
Ach! lubię w marzeniach Ją pieścić słodko,
Nie za to, że tak złociste ma włosy,
Ale, że biedną jest, smutną sierotką,
I niewinną, jak perła rannej rosy.
M. Choszcz — Grudziądz.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Edmund B. Dziękujemy Panu gorąco za jednanie nowych abonentów, jednakże adresu o który Pan prosi, przesłać nie możemy, gdyż jest on tylko wyłączną własnością redakcji. Radzimy Panu list przesłać adresatce za pośrednictwem p. Zofji.

P. Marcin D. Ogłoszenia matrymonjalne w „Moich Powieściach“ są płatne. Anons Pana zamieścimy chętnie po nadesłaniu należności (można zał. w znaczkach poczt.).

ZAWALIDROGA MA GŁOS

— Ano, to i po świętach kochane Czytelniki. Nie będę się Was pytał jak Wam prześli, bo i tak mnie nie powicie, chce tylko zaznaczyć, że jeżeli o mnie chodzi, to nie zanadto.

Jak wiecie na koryto czyli wsuwanie, chociażby nawet poświęcone, zabardzo nie lecę, a z ankoholem krewa poniekąd była, bo nie miałem z kiem pić.

W pierwsze święto z jednej strony siedziała koło mnie ciotka Wincentowa, kobieta nie tronkowa, a z drugiej — stryjo Topielec, także także bez towarzyskiej wartości, bo ślub se kiedyś zrobił, że bez całe święta nic do ust nie weźmie.

Siedzę ja sobie między tem nie tronkowem narodem, jak kto głupi i nie mam się z kiem napić.

Raj kobiet

Czy pani już ma płaszcz wiosenny?



Wiosna już w pełni. Płaszcze wiosenne, o których się już tyle pisało, nareszcie mają pole do popisu.

Przeważnie spotykamy płaszcze jasne. Najmodniejsze są w piaskowym kolorze z szeromodniejsze są w piaskowym kolorze. Z szerogury, nosić się będzie jeszcze w tym sezonie, ale nie będą już one ostatnim krzykiem mody.

Ostatnią nowością są szerokie, niedopasowane płaszcze, zupełnie luźne, zapinane na duże guziki. Do nich nosi się barwne apaszki.

Materjały na płaszcze włochate, grube w olbrzymie kraty.

RADY PRAKTYCZNE

Często przy myciu naczynia obijamy je o kurki wodociągu. Aby zabezpieczyć się przedtem, wskazanem jest na kurki nałożyć kawałek tuby gumowej.

Kartofle w łupinach upieką się prędzej, jeżeli włożymy je na pół godziny do gorącej wody zanim umieścimy je w piecu.

Smak wszystkich sosów do mięsa będzie o wiele lepszy, jeżeli dodamy kilka grzybków.

Woskując podłogi, nie należy nacierać je zbyt obficie woskiem, lecz dać tylko cieniutką jego warstewkę. O wiele lżej czyścić podłogi, jeżeli wosk pozostawi się na nich 24 godziny a potem dopiero się go wyciera.

Śmietankę ubijemy bardzo prędko na sztywną masę, jeżeli dodamy do niej łyżeczkę rozpuszczonej żelatyny.

Wkońcu zacząłem tego stryja bajerować, że ślub się dotyczył tylko jedzenia, i że gardło zwilżyć żadne przykazanie nie może mu zabronić. Dał się wkońcu stryjo Topielec strajlować i łyknął sobie kielich, a później drugiego. Po trzeciem zaczyna mnie kolendy śpiewać. Ja widzę, że tu może być niedobrze, skoro jeżeli po trzech kolejkach święta się facetowi pokręcili w mowie.

— A zagryźże stryjo głowizną, bo się zalejesz w drobne kaszkie.

A on ani słuchać nie chce.

— Ślub mnie nie pozwala — powiada.

To ja mu tłumaczę, żeby chociaż żółtkiem zakąsił. Jajko, danie religijne, to ślubowi nie zaszkodzi.

A stryjo nie i nie. Mówi, że ma prawo zagryźć tylko opłatkiem i znowuż mnie nad uchem „Przybieżeli pasterze" wyciąga.

To ja znowuż mu tłómaczę, że opłatków teraz niema, bo to Wielkanoc, a nie Boże Narodzenie.

To wiecie Państwo co on zrobił? Złapał butelkie jasnego piwa i całe mnie za kołnierz wylał.

— Jak Wielkanoc — mówi to znakiem tego i śmigus!

Piwo było z lodu, to jak mnie go polał pod marynarkie myślałem, że mnie licho z miejsca weźmie. Ale cóż, krzywdy mu zrobić nie mogłem, bo starszy człowiek i jak by nie było rodzina, to tyż siedzę w tej mokrej koszuli, zębami dzwonie, dreszcze mnie trzęsą i kombinuje jakby się tu na stryju odegrać, żeby familjanta nie obrazić.

No i ma się rozumieć wykombinowałem.

Jak już się goście rozchodzili, wziąłem z kuchni garnek z wodą, stanąłem sobie za winklem i czekam.

Wychodzi z pokoju stryjo i furt kolendę śpiewa, to ja za garnek i lu na niego.

A tu krzyk wszyscy podnieśli, że go pokaleczyłem. Patrzę, faktycznie stryjo cały zabroczony na czerwono. Skoczyła ciotka do niego. Marynarkie i kamizelkie mu rozpina, patrzyć a wujek ma żołądek na wierzchu. Kobiety w płacz, po pogotowie chcą dzwonić. Ale ja się przyglądam i widzę, że to żołądek gęsi, a krew nie krew tylko barszcz czerwony.

Co się okazało? W prędkości, po ciemku, zamiast garnka z wodą złapałem drugi z barszczem na dróbkach.

Świąteczny garnitur stryjowi zanieczyściłem, barszcz djabli wzięli i jeszcze po gębie od żony dostałem.

I mam chwalić takie święta? Nie mogię. Wole w powszedni dzień ze szwagrem butelkie wódki wypić!.

Ze świata

Kwiaty wiodą do pokładów złota

Dawniej odkrycie jakiegoś skarbu mineralnego zależało od szczęśliwego przypadku, obecnie istnieje szereg metod, ułatwiających odnajdywanie np. pokładów złota.

Mniej natomiast znany jest fakt, że na tem polu i botanika oddaje swoje usługi. Okazało się to niedawno w czasie zawierania umowy między trustem szwedzkim a towarzystwami angielskiemi w sprawie wspólnych poszukiwań złota w Afryce południowej.

Szwedzi zobowiązali się dostarczyć fachowców-botaników, Anglicy samolotów. Zadaniem uczonych szwedzkich miało być ustalenie związku pomiędzy wnętrzem ziemi a rosnącemi na tych terenach roślinami.

Notabene trzeba zaznaczyć, że tego rodzaju sposoby przy odnajdywaniu złóż mineralnych nie są ostatnią zdobyczą. I tak np. na Górnym Śląsku w niektórych miejscach rośnie masowo pewna odmiana fiołków.

Otóż zawsze na tych obszarach można było stwierdzić w głębi ziemi pokłady cynku.

W Anglji np. pojawia się roślina zwana jeleni róg bardzo często tam, gdzie ziemia ukrywa rudy ołowiu.

W Hiszpanji ustalono związek pomiędzy pewnym gatunkiem powoju, a fosfotami. W Ameryce południowej rośnie pewien gatunek erigonji ponad złożami rud srebra. W północnej Ameryce, zwłaszcza w stanie Wisconsin, zwykle trafia się na siarczek ołowiu tam, gdzie rośnie Amorpha ca nessens.

Pod brzozami należy szukać rud żelaznych.

ŚWIAT I ŻYCIE

Jak się ongiś hazardowano grą w karty

(Rus, tryszak, faraon, kwindecz i marjasz)

Zagęściły się karty, a zaginęły pliszki i kości, gdy za panowania króla Augusta III wymyślono grę w rusa, potem tryszaka, do których nie potrzeba było długich deliberacji, bo cała rzecz zawisła na szczęściu. Kto miał w rusa trzy karty starsze, albo maściste w tryszaku, trzy karty jednej figury, a jeszcze lepiej cztery, ten brał pieniądze.

Gdy zaś w Paryżu wymyślono grę w faraona, a wędrownicy polscy przynieśli do kraju, tak się wszystkim podobała, iż ją na wszystkie kompanje, asamble, bale, reduty i same nawet królewskie pokoje przyjęto.

Zrobiło się z tej gry wielom stopień do fortuny, wielom do upadku, gdy w profesję szulerów, przedtem wzgardzoną i tylko między małym ludem zachowanie mającą, za pojawieniem gry w faraona, weszli ludzie dystyngowani, a nawet najwięksi panowie stali się szulerami, ogrywając jedni drugich nietylko z gotowych pieniędzy, ale nawet z nieruchomych substancyj, z dóbr, klejnotów i całej fortuny.

Kiedy na jedną kartę było wolno stawić i tysiąc czerwonych złotych i sto tysięcy, i przez jedną noc można było miernie majętnemu, lub synowi szlachcica, wyprawionemu do dworu albo do palestry ograć się do koszuli.

Wielkich panów opanował jakiś szalony honor przegrywać w karty, na jednej kompanji po kilka i kilkanaście tysięcy czerwonych złotych. Co zaś najdziwniejsze, że ci, którzy długów swoich płacić nie lubili, przegrane kwoty na kredyt z wielką punktualnością nazajutrz wygrywającym odsyłali. A jeżeli nie mogli zapłacić, a byli zapozwani, tedy wszystkie magistratury takowe długi płacić i dobra zajmować nakazowały; generał Rozdrażewski, osobliwem szczęściem do kart obdarzony, z chudego pachołka przez szulerstwo w karty zrobił sobie kilkanaście miljonów substancyj. Nie było jednak pana ni panicza karty lubiącego, żeby go w znacznej kwocie nie urwał, bo jeżeli przegrał (co mu się nieraz trafiało), tak długo rewanżował, póki swoich pieniędzy z profitem nie odegrał.

Między przypadkami jego szczęścia tam był osobliwszy: kupił dwie wsi w województwie poznańskiem, powiecie kościańskim, pod Lesznem leżące: Gronówko i Górkę, za trzykroć sto tysięcy złotych od księcia Antoniego Sułkowskiego, wyliczył mu sumę razem w kancelarji kościańskiej. Hajducy w kufrze odnieśli sumę do stancji Sułkowskiego i tyle tylko czasu była w ręku jego, ile zabrała transakcja sprzedaży i rezygnacji, po której uczynionej i odebranej, generał Rozdrażewski, honoris gratia odprowadził księcia Sułkowskiego do stancji, a potem wywabiwszy go w karty, wszystką sumę co do szeląga przez jedną noc na nim wygrał tak, że Sułkowski zostawszy bez grosza, musiał na kartę od Rozdrażewskiego pożyczyć kilkaset czerwonych złotych z tych samych pieniędzy, które przed kilku godzinami były jego, a Rozdrażewski wjechał do wsi nie dawszy nic za nie.

Po faraonie wymyślono inną grę, nazwaną kwindecz, ta równie była hazardowana, jak faraon, można było i w tę przegrywać znaczne sumy, lecz iż potrzebowała większych umiejętności, niż gra faraon i nie mogła być grana w większej liczbie nad pięciu, dlatego w mniejszem była używaniu.

Faraon zaś mało umiejętności, a więcej na szczęściu zasadzony, zwabiał do siebie umiejętnych i nieumiejętnych.

Marjasz szlifowany, wymyślony został naostatku i służył tylko do zabawy, tak w pieniądze, jak i bez pieniędzy, najwięcej czterem osobom.

Panowie, najmniej do kart przywiązani i szlachta, najwięcej się tą grą bawili, jako nie mogącą uczynić wielkiej straty pieniędzy. Stawiano w tę grę najwięcej po złotemu i na stawkę po drugiemu; wygrywający jeden z drugim brał od przegrywającego złoty, który musiał także na stawkę stawić drugi, a kto wygrał wciąż ze trzema, zabierał wszystko, co na stawce było.

Chęć do grania w karty nagle i mocno opanowała cały naród, iż ledwo kogo nalazł w pierwszych i ostatnich, którzyby się niemi bawić nie lubili; z panów zaś wielkich i paniczów, kto nie znał kart, kto się nie mógł pochwalić, że podczas publiki w Warszawie, albo podczas kontraktów we Lwowie, albo na trybunałach nie przegrał, lub nie wygrał w karty sta, jednego i drugiego tysiąca, a miał potem fortunę, ten był poczytany, za grubijanina i sknerę.

Co słychać w polityce?

TYGODNIOWY PRZEGLĄD POLITYCZNY

Okres świąteczny przyniósł w polityce zagranicznej dwie sensacje. **Pierwsza,** to wysłana w Wielką Sobotę w południe nota Niemiec, zakomunikowana rządom wszystkich państw reprezentowanych w Radzie Ligi Narodów protestująca przeciwko jednomyślnej uchwale Rady Ligi potępiającej naruszenie przez Niemcy postanowień Traktatu Wersalskiego. W nocie swej rząd Rzeszy oświadczył rządom poszczególnych krajów, że nie mają prawa narzucania się na sędziów nad Niemcami, jakkolwiek nota protestacyjna Rzeszy była naogół spodziewana i nie wywarła większego wrażenia, to jednak pewnego rodzaju jest stanowisko zajęte poraz pierwszy przez dyplomację niemiecką, odmawiającą **ciału zbiorowemu** jakim jest **Liga Narodów** i jej organy prawa wydawania orzeczeń w sprawach przedłożonych jej do rozpatrzenia przez członka Ligi. Jest to całkowite novum w stosunkach międzynarodowych. Spodziewano się, że Niemcy będą usiłowały prostować treść zarzutów zawartych w memorjale francuskim, który stał się podstawą jednomyślnego orzeczenia Rady Ligi, a tymczasem Rzesza nie bawiąc się w żadne prawne dociekania, oświadcza krótko „nie pozwalam żadnemu ciału zbiorowemu mieszać się do wewnętrznych moich spraw". Bo takim jest istotny sens noty niemieckiej. Zły to prognostyk dla wyników ewentualnej współpracy z Niemcami na terenie międzynarodowym.

Drugą sensacją, tym razem już w najistotniejszem tego słowa znaczeniu, było wiadome również w Wielką Sobotę zawieszenie rokowań francusko-sowieckich. Fakt ten wywołał w Paryżu tem większe wrażenie, że jak zapowiedziano na piątkowem posiedzeniu rady, ministrów, Litwinow miał w dniu 20 bm. przybyć z Genewy do Paryża celem parafowania umowy. Jakoż istotnie, — mimo zaprzeczeń oficjalnej ajencji paryskiej, Litwinow przybył w sobotę rano do stolicy Francji i po krótkiej rozmowie na Qui d'Orsey z ministrem spraw zagranicznych Lavalem, odjechał do Moskwy. Był to wyraźny gest obrażonego dyplomaty. Tak to zrozumiano zresztą w Moskwie, gdzie w niedzielę wydano utrzymany w dość suchym i prawie ostrym tonie komunikat o „przerwaniu rokowań francusko-sowieckich". Znaczna część prasy francuskiej i opinji publicznej, niechętnie patrzącej na flirty francusko-sowieckie powitała zawieszenie rokowań z niekłamanem zadowoleniem. „Tem lepiej dla nas — pisał Le Jour" — daje nam to czas do namysłu. Opinja francuska prawie nic nie wie o tem, co knuje się między nami a Moskwą. Gdyby ją szczerze zapytano co myśli o tym układzie, odpowiedziałaby: Nie!

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 5. V. do 11. V. 1935 r.

Niedziela, dnia 5 maja 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa 12.05 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczna z Filharmonji. W przerwie około godz. 13.00—13.15: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko 14.00 Muzyka (płyty) 15.00 „Organizacja hodowli zarodowej wobec nowej ustawy hodowlanej. Pogad. 15 15 Kwiaty polski — wiązanka (płyty) 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.35 Piosenki 15.45 „Na przedniówku" 16.00 Koncert solistów 16.40 Nowela Bartkiewicza 17.00 Koncert orkiestry mandolinistów 17.35 Opowiadanie dla dzieci młodszych 17.50 „Człowiek człowiekowi wilkiem" — odczyt 18.00 Koncert wileńskiej orkiestry kameralnej 18.45 „Zycie młodzieży" 19.08 Wiadomosci sportowe lokalne 19.13 Muzyka (płyty) 19.45 „Od Tumskiej do Niemieckiej Góry" 20 00 „Od chatki do chatki, od karczmy do karczmy" (Audycja słowno-muzyczna (Tr. do Berlina, Budapesztu. Stokholmu i Wiednia) 20.30 „Wiedeńskie walce (płyty) 20.15 Dziennik wieczorny 20.25 „Jak pracujemy i zyjemy w Polsce" 21.00 Loża Szyderców 21.30 „Co czytać (szkic literacki) 21.45 Wiadomości sportowe 22.15 Koncert kompozytorski 23.05 Koncert muzyki tanecznej.

Poniedziałek, dnia 6 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert 12.45 „Jak samej uszyć sukienkę" — pogadanka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.05 Koncert solistów 13 55 Wiadomości o eksporcie polskim 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Koncert 16.05 Lekcja języka niemieckiego 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17.00 „Zagadki muzyczne" dla dzieci starszych 17.15 Ogólnopolska rezerwa 18.00 Przegląd filmowy 18.10 Duety cytrowe 18.25 Chwilka społeczna 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Melodje podhalańskie (płyty) 19.15 „Skrzynka rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19 30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Audycja żołnierska 20.00 „Róże Madonny — ballada klasztorna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert stowarzyszenia Miłośników Dawnej muzyki 22.15 Koncert 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 7 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.05 „Słynne barytony" 13.45 „Z rynku pracy" 15.45 Koncert 16.30 „Listy od dzieci" (młodszych) 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17 50 Pogadanka społeczna 18.00 Koncert Chóru Juranda 18.15 Fragment teatralny 18.45 Utwory na ksylofon (płyty) 19.15 Wiadomości rolnicze 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogolnopolskie 19.35 Utwory na fortepian 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Gwiazda nie chce kręcić" 20.45 Dziennik wieczorny 20 55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21 00 Koncert 22.00 Serenada na skrzypce, wiolonczelę i fortepian 22.30 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami 22.45 Muzyka taneczna (płyty) 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 8 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Trio (koncert) 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.05 „Ogród zoologiczny" (płyty) 15.45 Orkiestra salonowa 16.30 „Trzecie zebranie klubowe" Odczyt 16.45 „Kwadrans słynnych artystów" 17 00 „Polityka panstw europejskich po wojnie" — odczyt 17.15 „Muzyka współczesna dla niedowiarków". — I pogadanka Michała Kondrackiego, ilustrowana płytami: (Impresjonizm francuski) 17.50 „Książka i wiedza) 18.00 Zespół Harmonistów Warszawskich 18.15 Wesoły skecz 18.30 Skrzynka techniczna 18.45 Piosenki w wyk. Marleny Dietrich i Adama Astona (płyty) 19.15 „Chrońmy dobytek od wypadków" — pogadanka rolnicza 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Tadeusz Olsza śpiewa swoje piosenki 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Wieczór Mickiewiczowski 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Odczyt w jęz. esperanckim p. t. „Polacy w szeregu laureatów Noble'a" 21.40 Pieśni polskie 22.15 Koncert.

Czwartek, dnia 9 maja 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Audycja dla szkół — (słuchowisko) 12.30 Koncert szkolny z Filharmonji Warszawskiej 13.00 Chwilka dla kobiet. 13.05 Dziennik południowy. 13.15 Dalszy ciąg koncertu szkolnego z Filharm. Warszawskiej 13.50 „Z rynku pracy" 15.45 „Po jednej piosence" (płyty) 16.30 Pogadanka w języku francuskim 16.45 Koncert chóru „Echo" 17.00 „O Litwie Kowieńskiej" reportaż 17.15 Jubileusz Jaracza 17 50 Poradnik sportowy 18.00 Pieśni 18.15 „O zawodzie literackim" — szkic literacki 18.30 „Skrzynka ogólna" 18.45 Klejnociki Fr. Lehara (płyty) 19.15 „Kącik dla młodzieży wiejskiej" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Krótki recital fortepianowy 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Pieśni i tańce 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 Koncert muzyki tanecznej 23 05 Muzyka taneczna 23.30 Odczyt w języku niemieckim p. t. „Puszcza Białowieska"

Piątek, dnia 10 maja 193 5r.

6.30 Audycja poranna 8 00 Audycja dla szkół 12.05 Utwory symfoniczne (płyty) 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik poł. 13.05 Koncert 15.45 Koncert orkiestry 16.30 Pogadanka przyrodnicza dla dzieci 16.45 Pieśni rumuńskie 17.00 „Dyskutujmy" 17 15 Koncert kameralny 17.40 Audycja dla chorych 18.10 Teatr Wyobraźni 18.30 Koncert reklamowy 18.45 Utwory (płyty) 19.15 Skrzynka rolnicza 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Zula Pogorzelska w swoim repertuarze 19 50 Feljeton aktualny 20.00 „Jak spędzić święto? 20.05 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symf. z Filharm. Warsz. W przerwie — Dziennik wieczorny, oraz „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 22 30 Audycja poetycka 22.45 Psychologja kobiety i mężczyzny (odczyt) 23.05 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 11 maja 1935 r.

6.00 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13 05 Fantazje operetkowe (płyty) 13.50 „Nasz handel morski" 14.45 Muzyka salonowa 15.00 „Wiosna-Wielkanoc i Lato w pieśni białoruskiej", Audycja regjonalna 15.30 Humoreska 15 45 Koncert. 16 30 Skrzynka techniczna 16.45 „Kwadrans słynnych artystów" 17.00 Transmisja Nabożeństwa Majowego 17.50 „Miasto gwiżdżących parowozów Kutnó" (Odczyt) 18.00 „Wesołe audycje dla dzieci" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Piosenki Toli Mankiewiczówny i Mieczysława Fogga 19,15 „Skrzynka rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Koncert 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Koncert 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 „Literat a kino" — szkic literack 22.30 „Na wesołej lwowskiej fali" 23.05 Koncert.

KĄCIK ROZRYWKOWY

„ZŁOTA MYŚL"

ułożyła Danuta W.

Zamiast liczb wstawić odpowiednie spółgłoski tak, aby otrzymać złotą myśl Kochanowskiego:

1, 2, 6, 3, 4, o — 5, i, ę, — 6, a — 1, 2, 7, e, 8, i, 9, i, 10, — 8, 7, 11, o, 9, i, e, 12 — 1, a, 13, 5, 12, i, e, 14 — 9, o, 15, i — 15 e, 1, i, e, 14 — 5, 12, 2, o, 6, 4, i, e, — 9. y, 8, i, e, 2, 1, i, e, 10 — 8, 16, o, 8, i, a, — 9 — 5, c, 2, 8, u — 17, o, 15, i.

SZARADA

uł. „Utuś z Mielęcina"

Drugie trzecie czwarte rośnie w lesie i ogrodzie,
A trzecie i czwarte potrzebne na morzu w przygodzie.
Różny kształt ciastkom nadaje pierwsza druga,
Choć w kształtach nie obowiązuje norma.
A do żab i wężów konserwowania,
Jest najtańsza i najlepsza cała.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książki. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 10-go maja br.

Rozwiązanie krzyżówki-wirówki z numeru 15 „Moich Powieści": 1. Starosta 2. Komisarz 3. Katowice 5. Agitator 7. Krasicki (Słowacki) 8. Piramida 10. Tradycja 11. Piosenka 13. Wiktorja 15. Redaktor 16. Instytut 17. Pasterka.

Trafne rozwiązania nadesłali: „Aleksiej" — Łucja Kokotowa, Mielęcin — Władysława Grubowska, Biskupice — Wanda Chmielewska, Kraków — Józef Romanowski, Warszawa — Ignacy Piotrowicz, Lublin — Józef Wartusz, Baranowicze — Elżbieta Sorbakowska, Dąbrowa Górnicza.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Elżbiecie Sorbakowskiej z Dąbrowy Górniczej i Józefowi Wartuszowi z Baranowicz.

DOBRA GOSPODYNI

Potrawa z pozostałej pieczeni

Pozostałą pieczeń pokrajać na dość duże kakawałki. Zasmażyć masła z siekaną cebulą i mąką, rozprowadzić rosołem lub buljonem, włożyć trochę karmelu, wdusić cytrynę, dodać grupkę cukru, pieprzu i pieczeń włożyć do sosu, aby się dobrze zagotowała. Zamiast cytryny można wziąć jabłek kwaśnych, lub ogórków, a będzie smaczniejsza.

Potrawka siekana z baraniny pieczonej lab gotowanej

Mięso obrać z błonek i żyłek i pokrajać drobno. Zasmażyć masła z mąką i cebulą, rozprowadzić buljonem, wcisnąć cytrynę, wrzucić parę grzybków, trochę cukru, można też wlać trochę francuskiego wina i zagotować. Włożyć mięso, aby się dobrze zagrzało. Osobno ugotować na gęsto ryżu z solą i masłem, ułożyć wkoło półmiska, a mięso z sosem włożyć w środek.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

34)

„A teraz ruszajcie w drogę, bądź pani zdrowa, — bądź zdrowe, kochane dziecię, — proszę nie zapomnieć mojego nazwiska, — do widzenia!“

„Do widzenia, — jak długo mi Bóg pozwoli żyć, nie zapomnę o Panu,“ wyszeptała Anielcia ze łzami w oczach, „inaczej musiałabym się wstydzić sama przed sobą, że tak krótko dochowuję wdzięczności; dzięki ci jeszcze raz, — stokrotne dzięki, zacny, szlachetny panie za wszystko, coś dobrego dla mnie uczynił, — obraz twój będzie tkwił wiecznie w mej pamięci jako ideał zacnego, bezinteresownego mężczyzny“.

W tej chwili pociągnęły konie. — Znużona nawałem ostatnich zdarzeń zmęczona i niewyspana osunęła się na miękkie poduszki i przymknęła oczy. Pomału poczęły się mieszać jej myśli z sennemi widziadłami, — twarz zajaśniała jej pod wpływem radosnych jakichś widocznie obrazów, — zasnęła smacznie i zdrowo.

„Ocalonam, — ocalonam!“ to pierwsze słowa jakie wymówiła przebudziwszy się po jakimś czasie. Konie pędziły jak wiatr po samotnym stepie, unosząc ją szalonym pędem w dal.

XLV.

Ostatnie życzenie umierającego ojca.

Ciepły powiew wiosny przemknął po ulicach Paryża. W Champs Elysees pokryły się drzewa świeżem kwieciem. Kasztany umaiły się niby drzewka wielkanocne tysiącem białych, prosto sterczących świeczników.

Przez szeroko otwarte okno jednej z najpiękniejszych will w Champs Elysees wpływało świeże, cieplutkie powietrze do przepysznie urządzonego wnętrza.

W sali tej jednak nie było znać tego nowem życiem oddychającego tchnienia wiosny. Przeciwnie, — po kątach sali czaiły się jakieś grobowe mary, — to śmierć czyhająca na swoją ofiarę.

W szerokim, wygodnym, skórą obitym fotelu siedział tuż w pobliżu okna jakiś stary mężczyzna, ubrany elegancko, długa siwa broda spływała mu aż na piersi.

Twarz tego biednego bogacza zdradzała ślady przebytych chorób, skóra przybrała żółty trupi kolor, a całe oblicze było napiętnowane niezatartą pieczęcią niedługiego zgonu. To śmierć zaznaczyła w ten sposób swoją ofiarę.

Tuż obok chorego stały na małym stoliczku najrozmaitsze flaszeczki z lekarstwami. Wzrok starca skierował się właśnie na nie z pewnym rodzajem pogardy i rozgoryczenia.

Ale o wiele częściej kierowały się oczy nieszczęśliwego na piękny zegar wenecki, który na podstawie marmurowej stał w pośrodku tysiąca innych biżuterji na komodzie. Wogóle całe urządzenie salonu zdradzało zamożność i elegancję.

Chory chciał wzrokiem swoim zatrzymać wskazówki zegaru, aby nie pędziły tak prędko do ostatniej dla niego przeznaczonej godziny życia? Czy może oczekiwał przybycia jakiejś pożądanej osobistości, która miała nadejść niebawem?

Z głębokiem westchnieniem zwrócił się cierpiący do jakiejś drugiej osoby, do wysmukłego, eleganckiego mężczyzny, którego twarz okalała pełna ciemnoblond broda.

„Zygmuncie, mój przyjacielu“, odezwał się słaby, na pół leżący we wielkim krześle, pokazując drżącą ręką na zegar, „czy to już rzeczywiście tak późno, — już druga godzina? — Powiedziałeś pan przecie, że pociąg z Brukseli nadchodzi o pierwszej czterdzieści minut. — Jeżeli tak, się rzecz ma, to powinien już dawno być tutaj. — Ach, znowu słyszę turkot powozu, proszę cię, Zygmuncie, popatrz przez okno, może to on. Ja muszę go widzieć, nie potrafię prędzej umrzeć, dopóki nie uścisnę jego dłoni, dopóki nie usłyszę od niego słów przebaczenia“.

Zygmunt Sokolski pospieszył do otwartego okna, — wychylił się, — ale zaraz wrócił z powrotem do słabego mówiąc z pewnym żalem:

„Nie, — ten powóz przejechał mimo, — on nie przyjechał jeszcze.“

„Jeszcze nie, — wiecznie nie! — O Boże, — Zygmuncie, jakby on i teraz nie chciał przyjechać, jakby wytrwał dalej w swoim uporze, w swojej niechęci pogodzenia się! — Nieprawdaż, napisałeś mu przecież, przyjacielu, że ja śmiertelnie słaby, że dni moje policzone?“

„Bóg może cię jeszcze uzdrowić, mój kochany hrabio,“ odpowiedział Zygmunt, „wczoraj dopiero zapewniał mnie lekarz.“

„Nie pocieszaj mnie, mój drogi“, przerwał mu hrabia Teodor Zamski, „ja wiem najlepiej, jak ze mną! Ani lekarz, ani ty, mój przyjacielu, nie potraficie mi wszczepić nowej nadziei. O nie, nie dam się oszukać co do mojego prawdziwego stanu, — śmierć siedzi mi już na piersi, — oddech staje się coraz krótszy i cięższy, — minionej nocy było mi już tak źle, żem myślał, że skończę nie zobaczywszy go więcej. — Cicho, — nie słyszysz? — Jakieś kroki zbliżają się do drzwi!“

„To lokaj, który spaceruje w przedpokoju“, odparł Zygmunt.

„Ale nieprawda, on przyjedzie?“ począł po małej pauzie z trudem mówić słaby, walcząc całą siłą z atakiem astmy, która go znowu chwyciła, „to przecież niepodobnem, żeby mój syn odrzucił tę rękę ojcowską, którą wyciągam ku niemu, chcąc się pogodzić z nim w ostatniej godzinie życia. „Prawda“, ciągnął dalej hrabia Teodor Zamski, coraz słabszym, coraz częściej przerywanym głosem, „ja zawiniłem grubo przeciwko Kazimierzowi, — w pierwszym rzędzie ja, — jako jego ojciec, — jego najlepszy przyjaciel, — jego naturalny obrońca, — nie powinienem był wątpić w jego niewinność! — Ale wszystko przemawiało przeciwko niemu, — te nieszczęsne słowa, które wydała ze siebie Elza Rodeń, zanim straciła zupełnie przytomność, — ach, — mógłbym wiele rzeczy przytoczyć do mojego uniewinnienia, — ale, — nie teraz, Zygmuncie, — nie przed tobą, — z nim chcę się rozmówić! — Och, — żeby on już tu był, — jakie katusze sprawiają mi te ostatnie godziny mego życia, — ten niepokój, — to oczekiwanie, — straszny stan nieszczęśliwego starca skazanego na śmierć, który walczy z duchem cieni, — chcąc spełnić koniecznie swój święty obowiązek przedtem, zanim go wieczna noc ogarnie!“

„Proszę cię, mój drogi przyjacielu“, zawołał Zygmunt, „nie unoś się, nie męcz się niepotrzebnie, — pokonaj to rozdrażnienie. — Kazimierz jest w drodze do Paryża, — musiał już tu przybyć, — może zatrzymało go co w drodze z dworca. Wiesz przecie, że ulice, przez które musi przejeżdżać nadzwyczaj ożywione, ogromny ruch panuje na nich, — kwestja paru minut, a syn twój przybędzie.“

„Mój syn“, westchnął hrabia Teodor Zamski, „albož ja wiem, czy ja mam jeszcze syna. — Od czasu, jak Kazimierz opuścił ten straszny budynek, w który go sam wtrąciłem, nie chciał żadną miarą spotkać się ze mną. — Tak, — tak, — głęboki żal nosi w sercu dla mnie, — od roku wędruje bez wytchnienia po całej Europie, — najserdeczniejsze moje listy nie zdołały go skłonić, aby choć parę przyjacielskich słów odpisał. — Wreszcie udało ci się, mój drogi przyjacielu, odszukać miejsce jego pobytu. Opisałeś mu dokładnie ile ja cierpię, — jak ja się męczę dzień i noc, — że nie mogę umrzeć nie pojednawszy się z nim, — i wreszcie, — wreszcie —“

„Gdzie on?“ zabrzmiał jakiś czysty, niespokojny głos w bocznym pokoju, „gdzie mój ojciec?“

„Kazimierz!“ zakrzyknął stary hrabia, podnosząc się ostatkiem sił w swoim fotelu, — „mój synu, — mój synu, — mój kochany, drogi, biedny syn!“

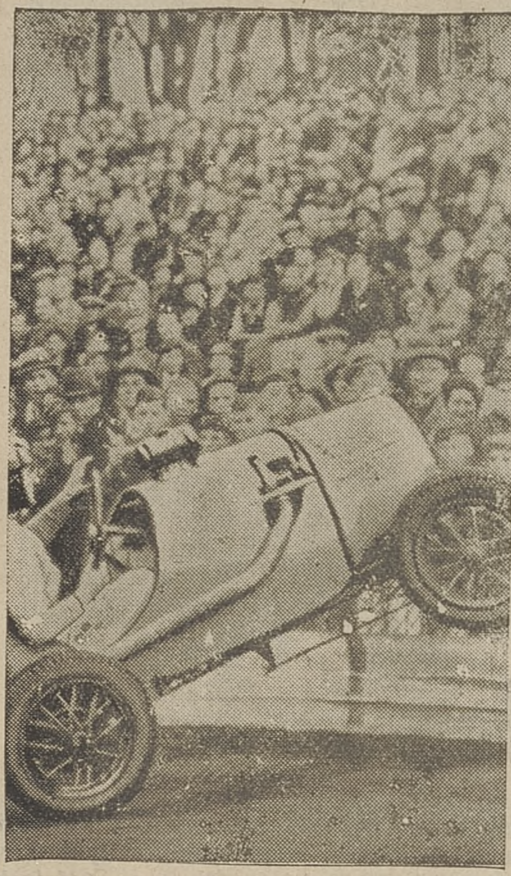
Drzwi szarpnięte rozwarły się, Kazimierz w płaszczu podróżnym, w małym kapeluszu na ciemnych puklach włosów, tak jak był, wpadł do środka, — ale kilka kroków tylko uczynił, — nagle stanął, jakby skamieniały, widok ojca przeraził go widocznie.

Kiedy go widział po raz ostatni była to jeszcze wysoka, imponująca postawa, — wszystko u niego zdradzało siłę i energję, — oczy były świecące i wyraziste, — a teraz! Ach, to, co teraz tu odnalazł, było tylko cieniem jego dawnego ojca, — to był starzec, napiętnowany strasznym stygmatem śmierci, — nieszczęśliwy, stojący u progu grobu!

Zimny dreszcz przebiegł Kazimierza od stóp do głowy, — teraz poznał dopiero ze strachem, jak łatwo mógłby i teraz nie przybyć, mógłby wogóle stracić możliwość usłyszeć ostatnie słowo umierającego i tak tęskniącego za nim ojca, uścisnąć po raz ostatni tę już na pół martwą rękę jego.

Krótki rozbłysk energji życia biednego starca na widok swego upragnionego syna minął. Z ciężkiem westchnieniem opadł znowu bezsilnie na fotel. Hrabia Zygmunt podtrzymywał go obydwoma rękami w postawie siedzącej.

„Kazimierzu, mój synu!“ odezwał się stary hrabia łzami zdławionym głosem, „nieprawdaż, ty nie możesz mnie nawet poznać, moje dziecko, — tak, — widzisz, co ze mnie pozostało, — tak ciężko odpokutowałem tę winę, jaką na siebie



Automobilista francuski Jean Reville na swem niewielkiem aucie wyczynia wobec tłumów publiczności prawdziwie cyrkowe sztuczki. Jedną z takich widzimy na zdjęciu.

włożyłem wątpiąc w zacność własnego syna.“

„Proszę cię, ojcze, nie wspominaj tego“, zawołał Kazimierz, przystępując z drżeniem bliżej i upadając u nóg ojcowskich, „nie ma winy, — wszystko przebaczone! Och, ojcze, gdybym był przeczuł, jaki twój stan rzeczywisty, — dawno już połączyłbym się z tobą, — ale głęboki żal zrobił mnie ślepym, samolubnym, — nie dozwolił mi rozpoznać z twych listów, że już tak źle z tobą, — dopiero hrabia Zygmunt Sokolski otworzył mi oczy. Dostawszy jego list w Brukseli nie mogłem dłużej tam wytrzymać. Najbliższym pociągiem odjechałem, — i Bogu dzięki, chwała Najwyższemu w niebiesiech, — przyjechałem jeszcze w porę, aby cię zobaczyć. A teraz, mój ojcze, nie odstąpię od ciebie, — będę cię obsługiwał, pielęgnował, — wydrę cię śmierci, — ja —“

„Zamkniesz mi oczy, mój synu“, odezwał się starzec głucho, „to ostatnia przysługa, o jaką cię proszę.“

„Jam już teraz szczęśliwy, mój synu“, odezwał się starzec dalej płaczliwym głosem, „że mogę cię jeszcze raz oglądać, — że mogę położyć me ręce na twoją drogą głowę i pobłogosławić cię, — powiedz mi tylko, — powtórz jeszcze raz, żeś mi przebaczył, — że nie gniewasz się już więcej na mnie za to, żem cię opuścił w twojem nieszczęściu i nędzy! — Ach, Kazimierzu, ja ciężko zawiniłem przeciwko tobie, — jak okropnie nieszczęśliwym musiałeś się czuć wówczas, — kiedy ten, którego pierwszym obowiązkiem było wspomagać cię, pocieszać, — odwrócił się od ciebie.

Zygmunt opuścił na palcach salę, takt i delikatność nakazały mu to. Wiedział, że w tej chwili tak ojciec jak i syn powinni być sami. To co sobie mieli wzajemnie wyznać, ten nad grobem stojący starzec i pełen życia młodzieniec, nie nadawało się dla uszu kogoś trzeciego.

„Ojcze, ja jeszcze raz ci przysięgam“ zawołał Kazimierz z pospiechem, powstrzymując tylko z trudem cisnące mu się do oczu łzy, „ja zupełnie ci przebaczyłem, zapomniałem. — Ja wiem, — wszystko świadczyło przeciwko mnie, — tyś może nie mógł inaczej osądzić. — Ale powiedz mi, ojcze, co cię skłoniło, żeś aż tu przyjechał do Paryża, kiedyś się czuł tak bardzo słabym, — skoro stan twój tak ma być niebezpieczny, — chociaż ja w to nie mogę jeszcze uwierzyć. — Dlaczego nie przepędzasz ostatnich dni życia w twoim zamku, w domu twych praojców?“

„Kazałem się zawieźć do Paryża“, odparł hrabia Teodor Zamski, „aby usłyszeć zdanie sławnego tutejszego profesora co do mojego stanu. — Ja sam z początku nie wierzyłem, że już naprawdę ma się ze mną ku końcowi, — wszystkiemi siłami czepiałem się nadziei. Ale, mój drogi, — od tego dnia, w którym cię, — przebacz mi, że jeszcze raz przywołuję tę straszną chwilę przed twoją młodą duszę, — w którym cię uwięzili i w moich oczach poprowadzili do kryminału, — od tego czasu zacząłem chorować naprawdę. Złamany na duszy i na ciele powróciłem do mego zamku, — choroba, która może już z dziesięć lat przedtem czaiła się we mnie, wybuchła naraz wskutek tych wstrząśnień umysłu nagle i to z taką gwałtownością, — że mi w oczach żarła ciało. Ale odkąd jesteś przy mnie mój synu, czuję się trochę lepiej, swobodniej, oddech mam głębszy i lżejszy; — prawda, że już lepiej trochę wyglądam?“

Kazimierz patrzał z tajemnym smutkiem w twarz swego ojca. Jakkolwiek nie zdarzało mu się często być przy łożu konającego, przecież tyle wiedział z doświadczenia, że o ratunku nie ma tutaj nawet mowy. Twarz koloru prawie popielatego, te sine obwódki pod oczami, wszystko wskazywało niezawodnie na bliską śmierć. Z głębokim żalem objął rękę starca, grzejąc ją w swojej dłoni, bo palce były lodowato zimne.

„Ale nie jest wykluczonem“, zaczął na nowo hrabia Teodor, „że udar sercowy może mi przeciąć nagle życie, — zmusiłem prawie gwałtem doktora, aby mi powiedział całkowitą prawdę, — otóż zapewnił mnie, że najszczęśliwszym końcem mojej choroby byłaby apopleksja serca, — nagła śmierć! — O nie, — nie, — ja nie boję się jej odkąd ty jesteś przy mnie. — Teraz muszę jeszcze omówić niektóre nas obu dotyczące sprawy familijne, które chciałbym jeszcze załatwić dopóki starczy mi sił. Mój synu, — ja muszę ci zrobić jedno odkrycie.“

„Słucham cię, mój ojcze“, odpowiedział Kazimierz, „cokolwiek postanowiłeś, wierzaj, że wiernie wypełnię twoją ostatnią wolę, jak dobry syn, który życzenia umierającego ojca uważa za święte.“



W stolicy Hiszpanji odbyła się uroczystość 5-lecia istnienia republiki hiszpańskiej. Na zdjęciu moment defilady wojsk samochodowych przed prezydentem Zamorą.

„Przysięgniesz mi, że to, o co cię teraz poproszę, wypełnisz z ochotą?“

„Przysięgam ci, mój ojcze“, odrzekł Kazimierz.

Jako młody nie ważył swoich słów, przyrzeczeń, ani nawet przysięgi z taką skrupulatnością i z takiem niedowierzaniem, jak to czynią starsi nauczeni doświadczeniem, którzy rozważają najprzód wszystko dokładnie.

„Ach, żebyś ty wiedział, mój synu, jaki ciężki kamień zdjąłeś mi z serca, dając mi to uroczyste przyrzeczenie“, zawołał hrabia, „ja jestem przekonany, że nie będziesz niezadowolony z mojego postanowienia. — Przeciwnie, wierzę w to święcie, że ci to szczęście przyniesie i ustali.“

„Mnie szczęście?“ odparł młody mężczyzna kierując na ojca wielkie, pełne smutku oczy, „dla mnie niema szczęścia. Ja już tyle utraciłem, mój drogi ojcze, że życie nie potrafi mi tego zadosyćuczynić więcej.“

„Ja wiem“, zamruczał hrabia w swą siwą brodę, „że cierpisz jeszcze ciągle pod wpływem tego straszliwego wyroku, jaki na ciebie tak niesprawiedliwie wydali twoi sędziowie. Nie możesz zapomnieć tych okropnych chwil, jakie spędziłeś w tym szarym budynku, z którego jakby cudem wyrwał cię Bóg. Ale właśnie dlatego, żeś tak samotny, opuszczony, tak rozgoryczony, chcę ci podać balsam na wszystkie twe rany, a najlepszem lekarstwem dla twego zranionego serca będzie wierna towarzyszka życia, jaką wyszukałem dla ciebie.“

„Towarzyszka życia?“ zawołał Kazimierz zachrypłym głosem, kierując przerażony wzrok na swego ojca; „co słyszę,

— czy ja się pomyliłem, — ty masz na myśli jakąś dziewczynę?“

„Tak jest, dziewczynę“, odpowiedział stary hrabia słabym głosem, „piękne, dobre, znakomite dziewczę, które ci przeznaczyłem za żonę. Nie, — nie przerywaj, — posłuchaj mnie najprzód, mój synu, zanim mi odpowiesz. Ja odchodzę od ciebie, — mnie wola nieubłagana śmierć, — zostawię cię samego na tej ziemi. Jaką słodką pociechą będzie dla mnie w grobie to przekonanie, że zdobyłeś sobie drogie, kochające cię serce! O ile spokojniej będę umierał wiedząc, że przyłączysz się do familji, — którą kocham, — poważam, — i dla której mam tyle obowiązków wdzięczności.“

Kazimierz napróżno usiłował pokryć swoje przerażenie. Straszna bladość jego oblicza zdradzała najlepiej, jak okropnie trafił ten cios z ust własnego ojca. Już teraz żałował przedwczesnej przysięgi, — przyrzeczenia, że spełni wiernie ostatnią wolę ojcowską.

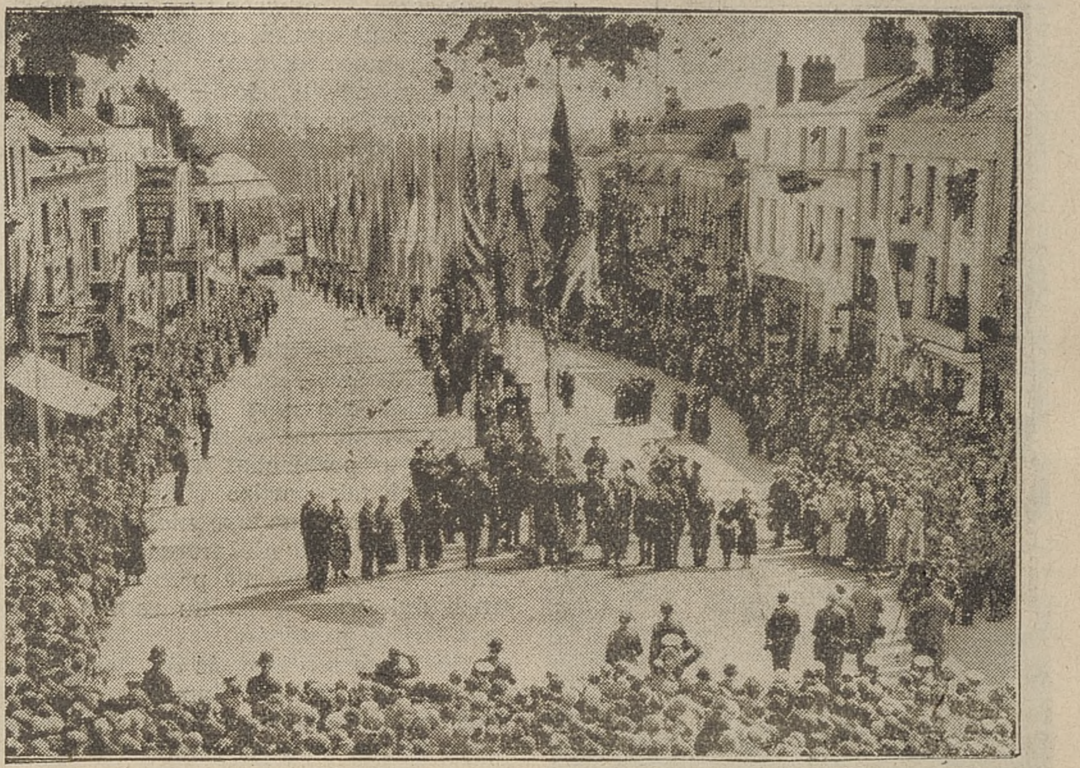
Słabszym głosem zaczął na nowo stary hrabia.

„Czyż nie przeczuwasz“, spytał, „kogo mam na myśli, — nie szepce ci tego twoje serce?

„Przebacz, że przypomnę ci jeszcze raz tę najstraszniejszą godzinę w twojem życiu. — Pamiętasz jak cię uwięziono, jak cię transportowano do więzienia; nie słyszałeś po za plecami bolesnego wykrzyku, — nie widziałeś jak mdlało to urocze dziewczę, — to los twój w tak gwałtowny sposób wstrząsnął całą jej duszą, że aż przytomność straciła. — To była Lola, córka naszego przyjaciela Zygmunta, który właśnie opuścił mój pokój; z wrodzoną sobie delikatnością nie chciał być świadkiem naszej familijnej narady. — Ja dałem mu słowo honoru, że połączę cię mój drogi Kazimierzu z Lolą. On przecież sprawił to, żeś teraz w tej ciężkiej godzinie, przy mnie, — wdzięczność moja —“

„Mój ojcze“, przerwał mu Kazimierz, „jeżeli się rozchodzi o hrabiego Zygmunta Sokolskiego, w takim razie jestem święcie przekonanym, że nie będę miał powodu żałować mojego przyrzeczenia. — Nie, hrabia Zygmunt zanadto szlachetny, aby mnie gwałtem chciał za zięcia, jeżeli się dowie, że mógłbym wprawdzie jego córkę szanować, czcić, ale kochać — przenigdy —“

„Kochać przenigdy?“ zawołał umierający, — głos jego stawał się z każdą minutą coraz słabszy, „nieszczęsny synu, dlaczegożto nie mógłbyś Loli pokochać? — Czyż nie śliczna i urocza tak, że trudno porównać ją nawet z innemi, — przecież to miła, uprzejma i poczciwa, zacna panienka! A przytem, — nie pomyślałeś może na to, do jak szlachetnego rodu się zalicza? Doprawdy ród jej mógłby się rzeczywiście porównać z naszym, więc para dobrana, a myślę, że na to powinieneś przedewszystkiem zważać. Bo widzisz, mój Kazimierzu, tyś ostatni z dziedzicznych hrabiów Zamskich. Jak zamknę moje oczy pozostaniesz jako jedna jedyna latorośl tego znakomitego rodu! Musisz przecie się postarać, aby ta latorośl zakiełkowała, zakwitła na nowo, aby nie wymarł nasz prastary ród, nie zaginął na wieki!



W dniu 23 kwietnia w Stratford-on-Avon odbyły się wielkie uroczystości ku czci wielkiego dramaturga angielskiego Williama Szekspira, urodzonego w tym dniu w 1564 r., a zmarłego w 1616 r. tak samo w dniu 23 kwietnia. W uroczystościach wziął udział dosłownie cały świat, razem 81 narodów.

„O, Kazimierzu, — twoi praojcowie patrzą w tej chwili na ciebie z góry, — tyś ich nadzieją, ich dumą; — czyż nie napróżno żyliby tutaj na ziemi, gdybyś odważył się kiedykolwiek wejść w związki niegodne ciebie.

„Ale nie, — nie! Ja wiem, ty tego nie uczynisz, — tyś mi przysiągł Kazimierzu, — przysiągł dodając do tego, że przysięga ta będzie ci świętą, że z ochotą dotrzymasz jej.“ —

„Tak powiedziałem“, wyrzekł Kazimierz z trudem, unikając wzroku ojca i spuszczając oczy na ziemię. „Ale ja zagalopowałem się, mój ojcze. — Nigdy, przenigdy nie powinienem ci był dawać przyrzeczenia, pieczętować go do tego przysięgą nie wiedząc, czego ode mnie będziesz się domagał. Gdybyś zażądał mojego życia, — z ochotą oddałbym ci je, — gdybyś odsłonił mi, że w przyszłości muszę pracować jak najniższy robotnik od wczesnego ranka do późnej nocy bez nadziei, czy ujrzę kiedyś owoc mojej pracy, — i to, mój ojcze, przyjąłbym na swoje barki, zniósłbym w milczeniu, jakkolwiek duch mój inne ideały stawia sobie na przyszłość. — Wszystko, wszystko, mój ojcze, gotów jestem uczynić dla ciebie, czego tylko zapragniesz ode mnie, tylko tego jednego nie żądaj ode mnie: Ja nie mogę ofiarować mego serca dziewczęciu chociażby najszlachetniejszemu, najlepszemu, najznamienitszemu, — nie mogę, ojcze, choćby to był ideał najznaczniejszego rodu, ideał całej ludzkości, — bo moje serce oddane innej!“

Drżące ręce umierającego złapały ostatkiem sił za poręcz krzesła z dębowego drzewa, — jeszcze raz podniósł się do połowy, — z przerażeniem skierował swe nieruchome oczy na twarz swego syna.

„Innej, powiadasz?“ zacharczał z trudem i z bólem hrabia Teodor Zamski. „Ach, przecież nie spodziewam się, że to jeszcze ciągle ta sama dziewczyna, ta obca, która zawładnęła całą twoją istotę. Nie chciałbym w ostatnich chwilach życia z goryczą myśleć o innych.“

Kazimierz milczał.

Cierpiał straszliwie, — nie chciał zasmucać swego ojca, — nie chciał mu ostatnich chwil życia rozgoryczać. A jednak — nie mógł się zaprzeć swojej Anielci, — swojej ukochanej Anielki, której od roku napróżno poszukiwał po całej Europie, — swojej Anielci, którą mu wyrwał jakiś wrogi, zawistny los, — Anielci, której nie znalazł więcej w zakładzie doktora Morizano, która tak zagadkowo zniknęła, jakby ją ziemia żywcem pożarła.

„Nie odpowiadasz mi, Kazimierzu?“ zawołał hrabia Teodor, załamując ręce i przyciskając niemi swoją suchą, wychudłą pierś, jakby chciał przytłumić zanadto gwałtowne bicie serca; „ty milczysz? Ha, w takim razie wiem już wszystko. Więc zawsze jeszcze ta jedna, obca osoba, która stanęła między mną a tobą?“ — Ta dziewczyna, która właściwie spowodowała całe nieszczęście jakie spadło na ciebie. Och, gdybyś ty jej był nie spotkał! Nie trzymanoby cię całemi tygodniami w zakładzie dla obłąkanych, — nie byłbyś popadł w te nieszczęsne terminy, — nie posądzonoby cię o tę okropną zbrodnię.“

„Ojcze!“ zawołał Kazimierz silnym, namiętnością nabrzmiałym głosem, „chociażby dziesięć takich posądzeń jeszcze teraz ciężyło na mnie, zniósłbym to z radością dla niej, — dla mojej Anielci. Bo ja ją kocham jeszcze zawsze z równą siłą, jak wówczas, kiedym ją po raz pierwszy zobaczył. Ojcze, ja nie mogę zapomnieć tego ukochanego oblicza, —



W święta wielkanocne odbyły się w Irlandji wielkie uroczystości z okazji 19-tej rocznicy wybuchu powstania, które miało z Irlandji zrzucić jarzmo angielskie. Powstanie to zostało krwawo zduszone. Powyżej prezydent Irlandji de Valera przed frontem powstańców z 1916 r. — Irlandja posiada dziś prawa dominjów angielskich, jak np. Australja, Kanada, Południowa Afryka i Nowa Fundlandja.

jej słodki głos brzmi mi ciągle w uszach, jakkolwiek już dawno go nie słyszałem. Chociaż ją straciłem, chociaż nie odnalazłem tego drogiego stworzenia, pomimo tego, żem ją, tak długo po całej Europie nadaremnie poszukiwał, przecież nie ustanę w gorliwości, choćbym miał całe moje życie temu zadaniu poświęcić, — poświęcę, aby ją tylko odnaleźć. A jeżeli Bóg w Niebiesiech zlituje się nade mną i pozwoli mi uścisnąć tę drogą istotę, — wówczas, — tak, wówczas ona tylko zostanie hrabiną Zamską, ona jedynie, — żadna inna, to przysięgam —"

„Nie przysięgaj", zawołał umierający ochrypłym i takim jakimś dziwnym głosem, że Kazimierz zadrżał mimowoli aż do szpiku kości, „nie śmiesz przysięgać, bo toby znaczyło jedną przysięgą drugą łamać. Nieszczęsny zmuszasz mnie do wyjawienia ci wszystkiego, choć tak chętnie zamilczałbym o tem, ukrył to przed tobą.

„Ale to musi się stać, — czuję, że siły bardzo szybko mnie opuszczają, jakby gazowa zasłona kładzie mi się coś na oczy; — Kazimierzu, to ostatnia moja godzina nadchodzi, — podaj mi twoją rękę, mój synu, — twoją rękę, — ty mnie nie opuścisz w tej strasznej godzinie".

„O nie, na Boga, nie, mój ojcze „ja cię nie opuszczę", zawołał Kazimierz, rzucając się znowu na kolana przed umierającym. „Widzisz, trzymam twoje ręce w moich, — grzeję je, — chcę ci mojej krwi odstąpić, moje życie przelać w ciebie, Bóg moim świadkiem, że z chęcią umarłbym w twojem zastępstwie, — tylko mojej miłości nie mogę wydrzeć ze serca, nie mogę jej poświęcić, — nie mogę, drogi ojcze".

„A przecież musi tak być! — Wiedz, Kazimierzu, że my biedni; — zbankrutowani, — stoimy u progu ruiny finansowej!"

„Ojcze!" zawołał Kazimierz przeraźliwie, „ojcze, to nie może być, to nieprawdopodobieństwo, co mówisz! — Święty Panie, jakże to się stało, — tego nie mogę zrozumieć, — nie mogę pojąć, — co to za nowa zagadka?"

„Ja, — ja zawiniłem. — Byłem bogaty, rozporządzałem miljonami, — dałem się złapać i przystąpiłem do wielkich spekulacji, — duma powiodła mnie do tego, — chciałem koniecznie, abyś kiedy mógł posiąść książęcą fortunę. Niestety, przedsiębiorstwa wszystkie upadły. — Podwoiłem stawkę, tak jak zwykli czynić namiętni gracze, i — i — i straciłem wszystko.

„Kazimierzu", — umierający pochylił się głęboko na drżącego z przerażenia jakby sparaliżowanego młodego mężczyznę; zatopił swoje paznogcie głęboko w jego młodociane ciało. — „Kazimierzu", szeptał utkwiwszy swoje szeroko rozwarte oczy w jego twarz, — „hańba czekała nasz dom, nasz ród, — na szczęście znalazł się szlachetny mąż, który mnie uratował. — Mamże ci wymienić jego nazwisko, — nie domyślasz się? — To jest, — to jest —"

„Hrabia Zygmunt Sokolski", dopowiedział Kazimierz z westchnieniem, „ojciec Loli!"

„Tak on!" wyszeptały wargi starca z trudem. „Zrozumiesz teraz, że jestem podwójnie, potrójnie związany węzłami wdzięczności dla tego męża! — Nie sądź o nim źle; naturalnie, że nie żądałby od nas takiej podzięki, która tylko z wielką ofiarą z twojej strony byłaby możliwą. On pierwszy nie zgodziłby się na to, ale ja hrabia i ty tak zacnego rodu nie pozwolimy się przecież zmuszać do wdzięczności, musimy być wdzięczni bez przymusu. — Lola kocha ciebie, — ona tak ogromnie w tobie zakochana, że nie zdołałaby żyć bez ciebie. Wyznała to swemu ojcu — a on powiedział mnie, — naturalnie pierwszym impulsem było, żem mu podał rękę na to, że ciebie tylko Loli przeznaczam. Dałem mu na to słowo honoru, — przyrzekłem święcie, że żadnej innej nie poprowadzisz do ołtarza tylko jego córkę. Chcesz mnie uczynić kłamcą? Chcesz abym jako łajdak, szubrawiec bez czci i honoru dał się pogrzebać?"

„Ach, ojcze, rozdzierasz mi serce", zawołał Kazimierz łzami zdławionym głosem; „czyż ta godzina przeznaczona, aby mnie potępić, zgubić? Tracę ciebie, — dowiaduję się, żem żebrakiem, — nie dosyć na tem, teraz mam wyrwać sobie serce z piersi i rzucić je pod stopy tej, której nie kocham? — Ojcze, — och, ojcze, — to za wiele, — za wiele dla mnie jednego, — ja tego nie zdołam przetrzymać!"

„Ty jesteś jeszcze młodym, mój synu, — nie przeczuwasz nawet, ile człowiek może znieść! — Kazimierzu, moje minuty policzone, — zimno grobowe rozchodzi się po mojem ciele, — dosięga mi serca; jeżeli chcesz, abym miał spokój w grobie, połóż twoją rękę tutaj na mojej piersi i przysięgnij mi, że pojmiesz córkę hrabiego Sokolskiego za żonę".

Kazimierz popatrzył z trwogą na umierającego ojca, — widział dokładnie, że nie było to przywidzeniem, kiedy mówił o ostatnich minutach. Śmierć rozgościła się już w piersi starca, — wyciągała swe ostre szpony, aby mu zabrać ostatni oddech, wstrzymać pracę jego serca, — zabrakło czasu do rozważania, — musiał się zdecydować, albo, — albo.

Anielci nie znalazł, chociaż tak pilne i staranne czynił za nią poszukiwania! Stał się obecnie sam żebrakiem, obejmując w spuściźnie ogromny dług wdzięczności względem hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Musiał przecież spłacić ten dług wdzięczności choćby za swojego ojca! — Tak, — nie mógł się dalej bronić przed nieuniknionym fatum, — musiał uspokoić umierającego ojca, — musiał złożyć to przyrzeczenie jakiego tak gorąco domagał się od niego biedny, cierpiący starzec, — rodzony jego ojciec.

Słaby odbłysk nadziei pozostał przecież dla Kazimierza. Niby gwiazdka świetlna świecił on w tej ciemnej nocy nieszczęścia biednemu młodzieńcowi. Chociażby się związał przyrzeczeniem, że poślubi córkę hrabiego Zygmunta, jeżeli ta go odrzuci wówczas będzie wolny, — dana przysięga nie może go dalej krępować!

Tak, — postanowił sobie mocno, że pójdzie do Loli i skreśli jej swoją gorącą miłość do Anielci, swoją rozpacz, że nie może się połączyć z ukochaną.

Lola była zacną, szlachetną dziewczyną, nie mogła być przecież inną jako rodzona córka hrabiego Zygmunta! Ona nie potrafi się oprzeć jego prośbom i błaganiom, — ona odczuje głębię jego pierwszej miłości. Ona go zwolni z obowiązku, — z danego słowa, — nie zechce niewolnika jako męża, — ach, wówczas będzie znowu wolny, — wszystko będzie jak najlepiej.

„Niechże i tak będzie, mój ojcze“, zawołał Kazimierz. Jakieś dzikie postanowienie rozbłysło w jego oczach niby ognik błędny; „oto kładę moją prawicę w twoje zimne dłonie, — i przysięgam ci na Wszechmoc Boga w Niebiesiech, na moją miłość dziecinną, jakąś mi sam zaszczepił w serce, — tak przysięgam ci na wszystko, że żadna inna nie będzie moją żoną tylko córka hrabiego Zygmunta Sokolskiego, — a jeżeli ona mnie nie zechce, wówczas zostanę samotnym, bezżennym!“

Zaledwie domówił tych słów, wstrząsło piersią jego konwulsyjne łkanie, skłonił głowę swoją na piersi starca, na stygnące serce swojego ojca. Ręce hrabiego Teodora spoczęły w błogosławieństwie na głowie młodego mężczyzny.

„Tyś dobrym synem, kochany Kazimierzu“, zawołał umierający jakimś dziwnie głucho brzmiącym głosem, „szczęśliwy ojciec, który może się pochlubić takim synem. — Ach, jak lekko przyjdzie mi teraz umierać, — ty drogi mój, odpędziłeś ode mnie zgrozę ostatnich chwil, — dzięki ci za to, Kazimierzu, dzięki ci, — niebo ześle ci za to swoje błogosławieństwo! — A teraz proszę cię, — zawołaj hrabiego Zygmunta do mego pokoju, — muszę go zawiadomić o twojem postanowieniu i muszę się z nim pożegnać. Ale spiesz się, mój drogi, spiesz, bo już, — już brakuje mi oddechu!“

„Możebyś naprzód zażył lekarstwo, mój drogi ojcze, — może ci pomoże i potrafi przedłużyć chwile twego życia.“

„Nie, nie chcę żadnego lekarstwa“, zawołał Teodor Zamski z odcieniem niecierpliwości; „ono przedłużyłoby tylko moją ostatnią mękę. Ja chcę umrzeć, mój synu, — tyś nie powinien mi tego wzbraniać, nie powinieneś płakać, — wyzwolony od cierpień i mąk, spokojny zasnę snem wiecznym, przeniosę się do grobu, do którego mnie włożycie, — przejdę w lepsze krainy!“

XLVI.

Nieszczęsna przysięga

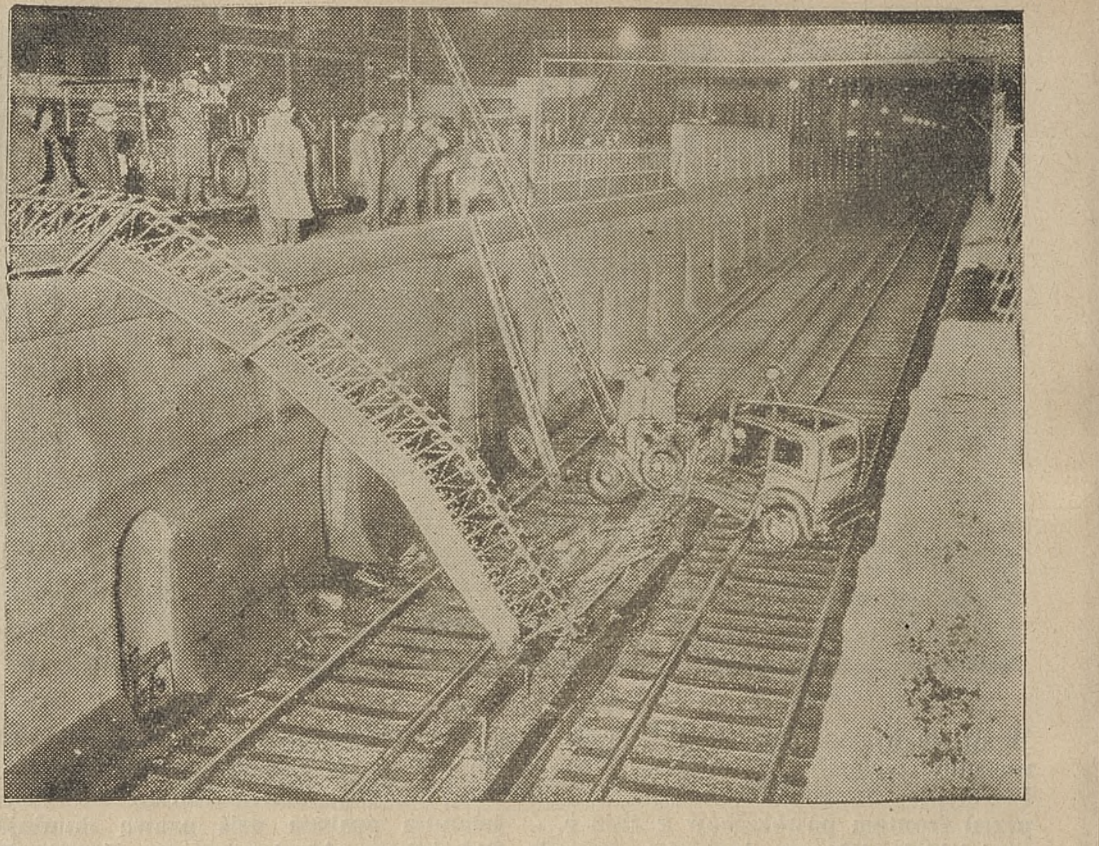
Kazimierz widział, że nie mógł zwlekać ani minuty. Oczy umierającego były już na pół zamknięte, — oddech podobny do świstu coraz trudniej wydobywał się z gwałtownie pracującej piersi, — w minutę mogła nastąpić katastrofa.

Kazimierz pospieszył ile miał sił, aby odszukać hrabiego Zygmunta. Za drzwiami napotkał na zapłakanego starego kamerdynera swojego ojca.

„Idź do pokoju, stary“, zawołał na niego pospiesznie, „już się zbliża ku końcowi, niezadługo zabraknie ci dobrego pana, a mnie kochanego, drogiego ojca. — W którym pokoju jest hrabia Zygmunt Sokolski?“

Sługa wskazał ręką na przeciwległe drzwi. Kazimierz szarpnął za klamkę, wszedł — zaraz na progu jednak stanął zdumiały, jakby mu nogi wrosły w ziemię.

Hrabia Zygmunt nie był sam; — jakaś młodociana zgrabna panna stała tuż obok niego, — była ubrana w ciemną sukienkę, długie wspaniałe boa spadało jej aż na kolana, — to była Lola.



Niecodzienny wypadek samochodowy wydarzył się w Nowym Jorku. Samochód przerwał barjerę i spadł na tor kolejowy, poczem się spalił. Kierowca znalazł śmierć, dwóch pasażerów odniosło ciężkie rany.

„Pani także tutaj?“ zawołał Kazimierz niepewnym głosem, w którym znać było zadziwienie i jakąś dziwną obawę zarazem. Zapanowawszy nad sobą jak mógł, przystąpił do hrabianki i podając jej rękę odezwał się:

„Proszę wybaczyć, że krótko tylko witam się z panią, ale przedewszystkiem muszę prosić ojca pani, pana hrabiego, aby jak najspieszniej udał się do pokoju swego przyjaciela, jeżeli chce go jeszcze raz zobaczyć przy życiu, — koniec zbliża się, ostatnie minuty mego ojca policzone.“

„Kazimierzu“, zawołał Zygmunt, ściskając rękę młodzieńca, „w jak ważnej i strasznej zarazem chwili widzimy się znowu. Moja Lola pełna troski i współczucia dla pańskiego ojca przyjechała tu także, — nie mogła wytrzymać w domu, — chciała koniecznie wiedzieć jaki stan chorego. — Chodź, Lolu, podaj mi rękę, zapewne zechcesz się także pożegnać z hrabią Teodorem. — Albo może nie chcesz zasmucać twej młodej duszy widokiem ciemnej, zagadkowej śmierci?“

„Ja pójdę z tobą, tatku, będę ci towarzyszyła“, odrzekła Lola. „Śmierć przeraża tylko tego, który ma skalane, brudne sumienie. Ja przywiązałam się serdecznie do pana hrabiego Zamskiego, dlatego chcę mu także uścisnąć rękę na pożegnanie.“

W kilka minut wkroczył hrabia Zygmunt ze swoją córką, za nimi Kazimierz do pokoju chorego.

Ciężki, krótki oddech słabego kazał się obawiać lada chwila katastrofy.

Tuż poza fotelem umierającego stał jego kamerdyner, który ukradkiem obcierał chustką łzy, spływające mu po policzkach.

„Chodźcie bliżej, moje dzieci“, zawołał hrabia słabym głosem, otwierając z trudem zimne usta. „Zygmuncie, mój przyjacielu, podaj mi raz twoją rękę, — ach, ja już nie mogę jej nawet zobaczyć, tak ciemno mi się robi w oczach, — ha, to noc zapada, — długa, nieskończona noc“.

Zygmunt objął obie ręce umierającego, z drżeniem uścisnął je serdecznie, — nie mógł mówić, — wzruszenie nie pozwoliło mu na to.

„Dzięki, — serdeczne dzięki, Zygmuncie“, ciągnął dalej z trudem umierający, „dziękuję ci gorąco za wszystko, coś dobrego dla mnie uczynił! — Byłeś mi prawdziwym, wiernym przyjacielem! — Teraz przeniesiesz swoją miłość i przywiązanie ze mnie na mego syna, — prawda? — nie opuścisz mojego Kazimierza?“

„Naturalnie, że go nie opuszczę“, odpowiedział Zygmunt Sokolski łzami zdławionym głosem, „chętnie będę mu ojcem jeżeli tylko zechce mnie przyjąć jako takiego“.

„Zechce, Zygmuncie, zechce!“ zawołał umierający głośniej, siląc się widocznie ostatnią resztką życia, „on chce zostać twoim prawdziwym, rzeczywistym synem, — w całem słowa tego znaczeniu! Przyrzekłem ci przecież, Zygmuncie, że mój syn połączy się węzłem małżeńskim z twoją córką. — Kazimierz spełni to przyrzeczenie ojca z radością! — Lolu, córko mojego najlepszego przyjaciela tu na ziemi, podaj mi twoją rękę! — Tak, dziękuję ci, — a teraz ty, Kazimierzu, daj mi twoją. — Łączę je razem, aby wspólnie związały się węzłem nierozerwalnym aż do śmierci. — Bądźcie szczęśliwymi, — kochajcie się, moje dzieci, bo miłość to największy skarb na ziemi, — a teraz powiedzcie mi,

czy chcecie się połączyć dozgonnie. — W obliczu śmierci musicie sobie złożyć to przyrzeczenie".

Kazimierz uczuł ciepłą, miękką rączkę Loli w swojej dłoni, — z początku dotykał jej z bojaźnią, — wkrótce jednak zapanował nad sobą, — uścisnął ją silnie, — oczy zabłysły mu dziwnym ogniem, — wargi otwarły się. — Ale nie, nie, — on nie mógł zaprzeć się Anielci, — zawstydził się, — zdawało mu się, że zbrodnię popełnia, że odgrywa niecną komedję, oszukuje siebie i innych, — tak kłamcą podłym jest, niczem innem, — nie zdoła wypełnić przyrzeczenia danego swemu ojcu, — nie potrafi, — nie i jeszcze raz nie.

„Kazimierzu", rozbrzmiał cichy, miękki głos Loli, „mój drogi, kochany Kazimierzu, — ach, ja pana tak długo już kocham całem sercem, — wtedy, kiedyś pan był w takiem nieszczęściu, o Boże, ile ja łez wylałam za panem!"

Co za śliczna, czarująca istota była ta Lola! — Pomimo strasznego zbliżania się ciemnej śmierci wydała mu się w tej chwili nadzwyczaj piękną i powabną. — A jednak, cały ten przepych wdzięków znikał w porównaniu z Anielcią! — Anielcia, to imię samo wpiło mu się niby sztylet głęboko w serce, rozrywało teraz nie zajątrzoną ranę.

„Kazimierzu, chcesz pan się ze mną połączyć?" pytała dalej Lola ciepłym, serdecznym tonem, „czy mogę zadosyćuczynić panu za wszystkie krzywdy i rany jakie świat i ludzie zadali panu? — Och, to będzie mojem pierwszym obowiązkiem, mojem świętem zadaniem, — jemu poświęcę się w zupełności. Kazimierzu", — głos jej drżał hamowaną namiętnością, — „Kazimierzu, wymów jedno słowo, a ojciec pański umrze z tem błogiem przekonaniem, że zostawia dwoje szczęśliwych ludzi, których połączył swem ostatniem słowem."

„Kazimierzu, moja córka kocha pana", zawołał Zygmunt męskim pełnobrzmiącym głosem, kładąc rękę na ramieniu młodego mężczyzny, „jeżeli i pana serce czuje pociąg do niej w takim razie uszczęśliwiony pobłogosławię wasz związek, bo pan jesteś mi już od dawna przyjacielem, tem chętniej przyjmę cię jako swego syna".

„Powietrza! — Powietrza"! zakrzyknął umierający nagle; oczy wyszły mu na wierzch, straszny atak astmatyczny złapał go za gardło i począł go niemiłosiernie dusić; — bezsilnie opadł na fotel. — „Ja się duszę! — Boże! — Kazimierzu, — twoje słowo, — twoja przysięga. Kazimierzu, teraz potrafię jeszcze usłyszeć, ale wkrótce będzie zapóźno, — żywemu musisz oznajmić, nie umarłemu! — Rozstrzygnij!. — Kazimierzu, — chcesz jedynaczkę hrabiego Zygmunta Sokolskiego, — dziecko tego zacnego męża, — pojąć za żonę?"

„Tak, chcę", zawołał Kazimierz złamanym, zachrypłym organem, „chcę!"

Z okrzykiem szczęścia padła piękna uwodzicielka w ramiona młodego hrabiego, który objął ją prawicą i przycisnął do siebie.

Po raz pierwszy położyła swą główkę na jego męskiej piersi, przycisnęła się do jego serca, — po raz pierwszy objęła go za szyję — po raz pierwszy złożyła usta do pocałunku, nadstawiając mu swoje różowe wargi.

Pomału opadła głowa Kazimierza. Przymknął oczy, — w uszach poczęło mu szumieć i dudnić, — zdało mu się, że morze napływa coraz bliżej, aby zatopić wszystko. Całe otoczenie zamieniło się w grubą mgłę, tylko jeden obraz wyłonił mu się z tego powszechnego pomroku, obraz jego Anielci ukochanej. — Zdało mu się, że widzi tę drogą istotę tuż koło siebie ubraną w łachmany żebracze, jak wyciąga ręce do niego, a on skamieniały nie zdolny jest poruszyć się, trzyma w swojem objęciu inną.

W chwili, kiedy chciał przytknąć swoje usta do różowych warg pocałunku żądającego dziewczęcia, zawołał Zygmunt Sokolski boleśnie:

„Kazimierzu, — ojciec twój skonał właśnie, — hrabia Teodor Zamski już nie żyje".

Lekko odsunął Kazimierz drżące dziewczę od siebie, pochylił się nad ojcem i uchwycił jego ręce, — były zimne jak lód! — Oczy na pół otwarte stanęły w słup, wargi były rozchylone, jakby chciał jeszcze coś mówić, — zapóźno. — Utracił ojca niepowrotnie!

Kazimierz stał przez kilka chwil nieruchomy, — zimna dłoń śmierci musnęła i jego serce, — jeszcze nigdy nie przeszła tak blisko koło niego. Zadrżał przed majestatem nicestwa, przed którym wszyscy ludzie muszą się prędzej czy później unižyć.

Pomału zamknął swemu ojcu martwe powieki przytrzymując lekko palcem, poczem ucałował z szacunkiem zimne czoło starca.

„Pomódlmy się za jego duszę", odezwał się hrabia Zygmunt, klękając tuż obok fotelu.

Kazimierz i Lola poszli za jego przykładem, — w drugim końcu sali klęczał stary kamerdyner, modląc się i płacząc.

Przez otwarte okno wpadał ciepły prąd powietrza wiosennego, Champs Elysees brzmiało i pulsowało gwarnem życiem. Słaby pomruk żyjącego i bawiącego się Paryża wkradał się do pokoju śmierci. — Co za straszny kontrast, — tutaj cichy, zimny trup a tam weselący się, śmiejący, używający tłum wielkomiastowy.

„A teraz, Kazimierzu", odezwał się Zygmunt, jak tylko się podnieśli, „proszę pójść z nami, musimy omówić bliższe szczegóły pogrzebu, — proszę podać ramię swojej narzeczonej!"

Swojej narzeczonej! — Dopiero przy tych słowach rzucił się Kazimierz, jakby się obudził dopiero z ciężkiego snu. — Swojej narzeczonej? — Miał więc już narzeczoną, — zaręczył się, — związał się z inną! — Chciał się porwać i krzyczeć, protestować głośno przeciw temu słowu, jak przeciw czemuś obrażającemu, nieprzyjaznemu, znienawidzonemu. Słowo to, dla uszu innych najpiękniejsza muzyka, wyraz szczęścia i uciechy, brzmiało mu złowrogo w duszy.

„Chodź, Kazimierzu", odezwała się tuż obok Lola cichym, miękkim głosem; „prawda, że teraz mogę już dzielić się z tobą twoim smutkiem, później — może weselem."

Delikatnie wsunęła mu swoją pulchną rękę pod ramię, prowadząc go do drzwi, zaciążyła mu słodko całem ciężarem uroczego ciała, ale ani iskra jakiegoś błogiego uczucia nie obudziła się w nim. Przeciwnie, zdało mu się, że jakiś wielki głaz ciągnie ze sobą, który powrozami i łańcuchami przykuli mu do szyi i rąk i że ten głaz ciągnie go coraz głębiej w jakąś nieznaną przepaść.

Hrabia Zygmunt opuścił razem z młodą parą pokój, w którym leżał umarły, — kamerdyner pozostał tylko sam jeden koło trupa.

Weszli do salonu. Lola pociągnęła Kazimierza na miękką sofę, przysiadłszy się tuż koło niego.

„Proszę pana, panie hrabio", zawołał Kazimierz, zwracając się do Zygmunta i podnosząc się ze sofy, — „proszę bardzo zostawić mnie na chwilę samego razem z hrabianką."

„Rzecz naturalna", odparł Zygmunt, „pojmuję zupełnie dobrze, że chce się pan rozmówić z moją córką. Odchodzę nie wątpiąc, że to porozumienie się wspólne utrwali jeszcze ten węzeł, jakim ś. p. ojciec pański związał was wzajmnie. Zresztą zmarły hrabia Teodor polecił mi gorąco zaraz po jego zgonie zapieczętować wszystkie papiery. Następnie muszę jeszcze panu powiedzieć, że życzeniem zmarłego było, aby go pogrzebano tutaj w Paryżu. — Obrał sobie tę stolicę, bo przypuszczał, że pan razem ze swoją młodą żoną większą część roku będzie przepędzał tutaj w tem pięknem, francuskiem mieście!"

„Ze swoją młodą żoną!" — Ach, te słowa trafiły Kazimierza jakby pchnięcie sztyletu. Obudziły go z jego chwilowego letargu, — wyrwały z dotychczasowej martwoty! Nie, nie, on musiał się wyzwolić z tych więzów, w które zakuła go gorąca prośba umierającego, musiał je potargać i to natychmiast. Potrzebował tylko krótkiej rozmowy z Lolą! Nie wątpił w to, że jej szlachetne serce zrzecze się jego, jak tylko się dowie, że on cały należy do innej!

Zygmunt wyszedł zamknąwszy drzwi za sobą. Młodzi, którzy mieli się połączyć na całe życie, pozostali sami!

— — — — — — —

Lola oparła się o wezgłowie kanapy. Ciemne, jak jedwab miękkie sploty włosów przytrzymywała drobną ręką, patrząc zadumanym wzrokiem w młodego mężczyznę. W tej na pół siedzącej, na pół leżącej postawie z oczami pełnemi marzeń była po prostu czarującą, — piękną jak nieziemskie zjawisko, — każdy inny mężczyzna upadłby przed nią na kolana i uwielbiał ją jak boginię piękna i miłości!

Tylko on, — on jeden, w którego sercu inny obraz wrył się tak głęboko, pozostał zimny.

„Lolu!" zawołał Kazimierz, przystępując tak blisko do niej, że dotykał prawie kolanami jej kolan, — „proszę mnie posłuchać! To słowa zacnego, szlachetnego mężczyzny, jakie teraz pani wygłoszę, — słowa mające rozstrzygnąć o całem naszem przyszłem szczęściu! Proszę tedy bardzo, panno Lolu, proszę posłuchać ich z powagą, jakiej się do magają!

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

HUMOR

Z życia Ludwika XIV

Gdv pewnego razu Ludwik XIV mówił o nieograniczonej władzy królewskiej, jeden z dworzan, hr. de Guise, próbował delikatnie zaprotestować. Król zmarszczył brwi: — „Władza królewska pochodzi od Boga i żaden poddany nie ma prawa głosu... Jeżeli panu każę skoczyć do wody, musi pan natychmiast spełnić mój rozkaz".

Hr. de Guise odwrócił się, kierując się ku wyjściu.

— Dokąd to, hrabio? — zapytał Ludwik XIV.

— Idę się uczyć pływać, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział hrabia.

Jak nie trafi

Bonifacy. — Zgadnijcie, jaka jest różnica pomiędzy lekarzem i armatą?

Serwacy. — Ja myślę, że niema żadnej, bo i ten i tamta zabijają nieraz ludzi.

Pankracy. — Tak, ale armata zabija jak trafi, a lekarz jak nie trafi.

W Kasie Chorych

— Panie! Pan wyrywa mi już trzeci ząb z przodu, gdy mnie boli ząb trzonowy.

— To nic. Po kolei dojdziemy i do zębów trzonowych.

Choć raz

— Kochanie, kupiłem dwa bilety do teatru.

— Doskonale. Zaraz się zaczynam ubierać.

— No, to może choć raz zdążymy do teatru na czas, bo bilety są... na jutro.

Anglik

— Czy to prawda, że ten Józio, jak opowiada, jest rodowitym anglikiem?

— A tak, urodził się w hotelu londyńskim.

— W Londynie?

— Nie, na Nalewkach.

Dobra żona

— Ucieszysz się: Znalazłam suknię tak tanią, że kupiłam ją, chociaż nie była mi potrzebna.

Na wsi

— Czego tak beczysz? Czy wam kto umarł?

— Tatunio, proszę wielmożnego pana.

— Nie może być! A mieliście doktora?

— Dotąd nie, ale kiejby się tatusiowi gorzej zrobiło, toby my byli doktora wzieni.

Rzadki okaz

W pewnym muzeum przewodnik, zatrzymawszy się przed jakąś starą zardzewiałą armatą, objaśnia ciekawych:

— To jest armata z czasów Aleksandra Macedońskiego...

— Ale wtedy jeszcze armat nie było — przerywa mu jakiś ktoś.

— Tem bardziej okaz rzadszy.

Przy stole

— Irenko, czy zauważyłaś, jaka ta kura twarda?

— Tak, gdybym ją dłużej chowała, z pewnością znosiłaby twarde jajka.

Brak

— Panie szefie! kasjer nam drapnął dziś rano.

— A czy jest jaki brak?

— Nawet dwa. W biurze dwadzieścia tysięcy dolarów, a u pana w mieszkaniu brak pańskiej żony.

Przy wizytacji więzienia

Naczelnik. Ja się obchodzę z więźniami, jak z rodzonemi dziećmi.

Wizytator. A jak się pan obchodzi z dziećmi?

Naczelnik. Codzień dostają w skórę.

W koszarach

Podczas śniadania do izby żołnierskiej wchodzi sierżant.

— Czego macie takie skwaszone miny? — pyta rozglądając się.

Jeden z żołnierzy podsuwa mu menażkę:

— Niech pan sierżant spróbuje.

— Wcale dobra zupa, — mówi sierżant kosztując.

— Właśnie! A kucharz mówi, że to kawa.

Jak się uczą książęta.

Nauczyciel idzie z książątkiem na przechadzkę. Po drodze spotykają stado owiec.

— Czy może mi Wasza Wysokość nazwać te zwierzęta?

— Tak, to są świnie.

— Pod pewnym względem ma Wasza Wysokość rację. Gdyby one nie miały na sobie wełny, to byłyby świnie, te świnie jednak, które noszą na sobie wełnę, nazywamy zazwyczaj — owcami.

Co to szkodzi

Pan Agapit kupuje dom. Pośrednik namawia go na kupno jakiejś zamiejskiej rudery.

— Czy ten dom nie ma żadnych wad? — wypytuje pan Agapit.

— Absolutnie... Są może tylko pewne drobnostki... A więc od północy ma pan gazownię, od południa fabrykę gumy, od wschodu fabrykę octu, a od zachodu fabrykę kleju...

— Rety!?... Taki dom chce mi pan sprzedać?!... Z takiemi zapachami ze wszystkich stron?

— Co to panu szkodzi?... To przecie ma również swoje zalety... Pan zawsze może wiedzieć, z której strony wieje wiatr?

Mógł pomyśleć

— Czy stanął twój zegarek, gdy spadł na podłogę?

— A bo co? Czy myślałeś może, że zaczął biegać po pokoju?

Tępy słuch

Hipolit spotyka swego przyjaciela Alojzego. Alojzy jest głuchy jak pień.

— Wiesz, Alojzy, spotkałem wczoraj starego Wojciecha... On jest jeszcze bardziej głuchy niż ty!

— Co?!

— Mówię, że on jest bardziej głuchy niż ty!

— Nie słyszę...

— Mówię, że on jest głuchy!... Bardziej głuchy niż ty!

— Niż co?...

— Niż ty... On jest bardziej głychy niż ty!

— Niż kto?...

— Mówię, że jesteś tysiąc razy bardziej głuchy, niż stary Wojciech i daj mi spokój...

Wiosna!

Pani Paplasińska wpada do gabinetu męża z potężnym krzykiem:

— Stasiek!!!... Bociany już wracają!... Wiosna!... Natura budzi się ze snu!!!...

— Nic dziwnego, że się budzi, skoro tak wrzeszczysz...

W najruchliwszym punkcie miasta, gdzie pojazdy mkną z zawrotną szybkością, przechodzi przez jezdnię żółwim krokiem pan Teofil.

Zirytowany policjant podchodzi doń wreszcie i powiada:

— Panie, czy nie może pan prędzej przejść przez jezdnię?!

— Panu łatwo mówić... odpowiada pan Teofil. — Ale ja, panie, wychodzę właśnie z kina, gdzie przez pół godziny pokazywano zdjęcia w zwolnionem tempie...

Dobrze wychowany

Matka gniewa się na swego synka.

— Kaziku, masz takie brudne ręce. Cobyś powiedział, gdybym ja doszła do obiadu z takimi brudnemi rękami?

— Nic mamo, jestem za dobrze wychowany.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: strona 450,- zł, ½ str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50%, zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.